

W 80-lecie urodzin J. Czechowicza

- str. 6

Tylko dla orłów

- str. 7

Mechaniczni astronauty?

- str. 10

Kate Bush i jej upiory - str. 11 ▶



DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

# kamera



NR 6 (773)

13 - 26 marca 1983

CENA 10 ZŁ

LUBLIN '83

## W czym utonie miasto?

Waldemar Piasecki



Rys. Zygmunt Pytlak

W PIERWSZEJ wersji tekst ten miał nosić tytuł „Raport o stanie miasta Lublina” i dotyczyć wszystkich ważniejszych problemów, jakimi żyje aglomeracja i jej mieszkańcy. Ojcowie miasta, którzy mieli być głównymi dostarczycielami informacji, prezydent Bronisław Popławski i wiceprezydent Edward Leńczuk bronili się jednak przed używaniem słowa: „raport”, jako mocno obligującym do ścisłości, precyzji i narzucającym określoną konwencję (obszerność, drobiazgowość itd.) Stąd też we wspólnej rozmowie przyszedł pomysł, żeby nie pchać do jednego „wora” wszystkiego, a spróbować przedstawić miasto i jego troski, kłopoty, zgrzyoty oraz możliwości i warunki wychodzenia z nich — w kilku „daniach”. Możli-

wie dla Czytelnika strawnych, a składających się na „uczcie”, którą ewentualnie zamknąłby deser w postaci redakcyjnej dyskusji. Dodatkowym faktem przemawiającym za cyklem wydaje się powszechnie mało zorientowanie lublinian w sprawach ich miasta; chyba, że dosięgną ich w postaci walącego się na głowę sufitu, czy kilkunastoletniej kolejki po spółdzielcze „M”.

Zacznijmy może od przypomnienia, iż rok 1983 przywitaliśmy w gronie 331 tysięcy lublinian, przy czym na każdego stu mężczyzn przypadało 114 pań. Powierzchnia miasta obejmuje 120 kilometrów kwadratowych, z czego 39 km<sup>2</sup> (3900 ha) znajduje

Dokończenie na str. 8

## Gorzko o oświacie

Marian Janusz Kawalko

**B**EZ większych uproszczeń przyjąć można, że od początku lat pięćdziesiątych w oświacie polskiej istnieje stan permanentnej sytuacji konfliktogennej. Tadeusz Boy-Zeleński swego czasu pisał, iż „dobre konflikty dramatyczne są te [...], gdzie ściera się dwie różne słuszności”. O słuszności władz resortowych pisano częściej, niż o słuszności nauczycieli i innych pracowników oświaty. Czas na wyrównanie proporcji.

Stan permanentnej sytuacji konfliktogennej wyrażał się, bądź wyraża między innymi:

a) niedostatkami bazy oświatowej (brak odpowiedniej liczby szkół, burs, przedszkoli, transportu szkolnego itd.);

b) brakami programów nauczania, podręczników, środków dydaktycznych, przewodników metodycznych;

c) niezborną z rosnącymi potrzebami koncepcją kształcenia i dokształcania nauczycieli;

d) niskim — w stosunku do innych grup społecznych — uposażeniem zasadniczym pracowników oświaty;

e) niefortunnymi decyzjami reformatorskimi w szkolnictwie;

f) niespójnością praktyk decydentów różnych szczebli z teorią socjalizmu, co stawiało niejednokrotnie nauczyciela w trudnych sytuacjach wychowawczych.

Jedynie dobra wola nauczycieli, świadomość społecznej posłannictwa i zrozumienie wyższych konieczności — z jednej strony — oraz sukcesywna deprecjacja zawodu nauczycielskiego, a co się z tym wiąże: poczucie niemożności — z drugiej, nie doprowadziły dotychczas (poza nielicznymi przykładami) do drastycznego zaostrzenia sytuacji konfliktogennej.

### O funkcjonowaniu pewnego stereotypu

Jest to niejako wycinkowo ujęta refleksja historyczna, a dotyczy pewnego stereotypu, który wciąż egzystuje wśród funkcjonariuszy oświatowych wyższych, ale i niższych szczebli. Oto Jadwiga Dziekan — dyrektorka jednej z warszawskich szkół podstawowych i delegatka na konferencję sprawozdawczo-programową stołecznej organizacji PZPR — powiedziała w wywiadzie prasowym dla „Życia Warszawy”, iż „dobry nauczyciel nawet tylko z kredą i tablicą może zrobić więcej niż kiepski ze wspaniałymi pomocami i w pięknym budynku” (podkr. — M. J. K.). Jest to pogląd — najogólniej mówiąc — przestarzały.

Dokończenie na str. 9

# z notatnika

25 II. Byłem wczoraj w Chełmie. Zaprosiła mnie dyrekcja Szkół Zawodowych nr 4 imienia Kazimierza Andrzeja Jaworskiego na Święto Patrona Szkoły. Przy okazji poznałem nowego dyrektora, mgr. Romualda Tomczyka, który przejął ster od przechodzącego na emeryturę Jana Longina Okonia.

Zawsze z tym samym wzruszeniem odwiedzam szkołę, która nosi imię mego Ojca. W tych murach Ojciec uczył języka polskiego do wojny i w pierwszych latach powojennych. Tutaj też przez krótki okres zajmował z matką pokój, w którym przyszedłem na świat. Przy Seminarium Nauczycielskim mieszła się tzw. Szkoła Cwiczeń: uczęszczałem do niej przez cztery lata 1935—1939. Jak z tego wszystkiego wynika, sentyment mój jest nad wyraz uzasadniony...

Wczorajsza uroczystość połączona była z pożegnaniem wieloletniej polonistki, p. Haliny Romanowicz, która z tej okazji otrzymała również Medal Komisji Edukacji Narodowej. Ponadto wręczono świadectwa absolwentom Zasadniczej Szkoły Zawodowej i Zaocznego Technikum Spożywczo-Gastronomicznego. Wyróżniający się uczniowie otrzymali nagrody książkowe. Z pracą w WSS „Społem” żadnych kłopotów nie będzie.

Święto Patrona Szkoły zbiegło się z przypadającą we wrześniu tego roku 50 rocznicą powstania „Kamena”. Młodzież przygotowała z tej okazji specjalny montaż poetycki, obrazujący pierwsze lata pisma. Był to szczególnie miły akcent uroczystości.

I ja zabrałem głos przyznając samokrytycznie, że nasza redakcja zbyt mało zajmuje się szkołą noszącą imię założyciela „Kamena”. Obiecałem, że postaramy się poprawić w tym roku, wykorzystując pięćdziesięciolecie. Ze swej strony dostarczę pewne eksponaty do istniejącej przy szkole Izbie Pamięci, która ciągle prezentuje się zbyt ubogo. Ale to przecież nie jest wina szkoły...

4 III. Pokój w warszawskim hotelu „Europejskim”... Za dobę płaci się teraz 500 złotych. W przyhotelowej kawiarni cena za dwa jajka w szklance wynosi złotych sto. Inaczej mówiąc — doba w jednoosobowym pokoju = 12 jajek.

Mała butelka piwa żywieckiego kosztuje 150 złotych. Doba = cztery butelki piwa.

Jednoosobowy pokój w hotelu „Stern” w Bonn... Oplata za dobę — 80 marek. Butelka piwa — 2,70 marki. Doba = prawie 30 butelek piwa.

Z tych porównań nie chcę wyciągać żadnych pochopnych wniosków, bo dyrekcja „Europejskiego” w trosce o urealnienie cen gotowa będzie jeszcze podnieść opłatę za pokój do 4,5 tys. złotych. Wiem również, że proporcje te inaczej układają się w stosunku do gości z zagranicy, a takich przede wszystkim wspomniany hotel chciałby mieć u siebie. Nie mniej jednak dziwić się mam prawo.

W tymże hotelu serwowano niegdyś do pokoju wodę sodową — teraz na biurku stoi jedynie pusta szklanka. Pokojowa oświadczyła mi, że ona nie ma siły roznosić butelek, a w hotelu pracują mężczyźni, którzy „nie nie robią”. Nie wiem, jak jest w istocie, ale znów mam prawo do zdziwienia: mnie osobiste organizacja pracy niewiele obchodzi, liczy się jednak jej efekt. A ten jest wiadomy!

5 III. W łódzkich „Odgłosach” Eugeniusz Iwanicki pisze na marginesie narady pisarzy partyjnych, która odbyła się 25 lutego w siedzibie KC PZPR: „ZG milczał przed 13 grudnia 1981, a także po nim. Nie zabrał głosu potępiającego wciąganie młodzieży do rozgrywek politycznych, nie starał się powstrzymać jej przed wystąpieniami ulicznymi, nie przeciwstawiał się siłom antysocjalistycznym. Wybrany w grudniu 1980 roku Zarząd Główny ZLP stał się koniem trojańskim naszej literatury. Dlatego też ten Zarząd musi odejść, innej alternatywy nie ma. Dziś nikt nie uwierzy, że w którymś tam momencie nastąpiło pomieszanie języków, jak podczas budowy biblijnej Wieży Babel, natomiast prawda jest taka, że nastąpił wyraźny podział polityczny wśród członków ZLP.”

O te samej naradzie Kazimierz Koźniowski w „Tu i teraz”: „Związek pisarzy nie jest potrzebny literaturze. Żadnej i nigdzie. Związek z wodą pisarzy jest potrzebny piszącym, aby ich postulaty socjalne i materialne były lepiej zabezpieczone. Ale nie należy się ludzi, iż ograniczenie zadań Związku Literatów do spraw wyłącznie zawodowych zabezpieczy go przed wewnętrznymi sporami politycznymi. W moim przekonaniu winą pisarzy zgrupowanych w ZLP — w latach 1980—82 — było nie to, że zajmowali się polityką. Ich winą zasadniczą, za którą winni ponieść konsekwencje było to, że opowiedzieli się za polityką awanturnictwa politycznego, która tak realizowana jak realizowana była (czemu ZLP w swej masie członkowskiej się nie przeciwstawił) oznaczała dla Polski, jako państwa naszego, najwyższe zagrożenie. Pisarze, ludzie z racji zawodu obowiązani do politycznego myślenia, okazali się — w swej masie —

politycznymi dzieciakami, by nie użyć wyrażenia ostrzejszego. Dali się porwać, ponieść, omamić, oglupić. ZLP winien jest udziału w działaniach politycznych, które groziły temu państwu klęską polityczną. Zanim tak, czy inaczej zadecydują się losy ZLP — pisarze muszą zdać sobie sprawę ze swej zbiorowej winy politycznej. Za tę postawę nikt ich nie może karać, to nie jest kategoria działania podlegająca prawu. Ale za taką działalność ponosi się odpowiedzialność polityczną.”

A Władysław Machejek w „Życiu Literackim”: „Nikomu korona z głowy nie spadnie, jeśli przyzna i odżegna się od błędów. Wzorzec samooceny i samokrytyki można brać z partii, robiliśmy to do utraty tchu, aż do rozpadu, jakże poganiani. W stosunku do ZLP działamy na zasadzie wyciągniętej ręki. Wyciągnięta ręka nie do tych, którzy „wybrali być wrogami socjalizmu”. Nie przestaną nimi być pod wpływem naszych perswazji. Trzeba mówić nie tylko o tym, co Zarząd zrobił, ale o tym, czego nie zrobił, żeby inteligencja twórcza trzeźwiała. Poczucie honoru? Przesuńmy na dalszy plan, musi ustąpić obowiązkom publicznym. Jeśli ktoś użyłby szans do próby przywrócenia przeszłości sprzed 13 grudnia, to ten nie grzeszy poczuciem zagrożenia wewnętrznego i zewnętrznego. Ktoś kiedyś stworzył rozsądną lub mniej rozsądną tezę, że Polska ma być poniekąd tranzytową stacją przepływu wartości kulturalnych. Ale to było w czasach odprężenia. Dziś imperializm wybrał Polskę i związki twórcze za platformę walki ideologicznej. Zasluga partii jest, że oddaliliśmy od Polski wojnę. Aż za dużo jest w USA chętnych do wojny... do ostatniego Polaka. Przyduszą nas teraz ekonomicznie, żeby doprowadzić do społecznych wybuchów. Grozi się m.in. wyprowadzeniem literatury z kraju na obczyznę. Na pewno literatura antysocjalistyczna znajdzie się tam, gdzie była i już jest tam, nie znajdzie miejsca w naszym kraju. [...] Na rozstrzygnięcie sporów czekamy z nadzieją. Ale i „Zachód” czeka z nadzieją w imię własnych interesów. Nie wierzę, żeby olbrzymia większość społeczności pisarskiej była bezsilna wobec polskiej racji stanu. Nie wierzę, żeby nic nie obchodziło ich państwo. Musimy szybko odpowiedzieć — faktami — jakie państwo.”

7 III. Wczoraj wieczorem nadchodziły sprzeczne informacje. Z niektórych doniesień wynikało, że CDU/CSU zdobyły bezwzględną większość głosów i w nowym Bundestagu chrześcijańska demokracja da sobie radę i bez FDP. Jeszcze dziś rano — aczkolwiek sytuacja stała się już klarowna — radio podawało dane nieco w szczegółach różniące się między sobą. Ostatecznie po dzienniku o ósmej rano zanotowałem: CDU/CSU — 48,8 proc. głosów i 244 mandaty, SPD — 38,2 proc. i 193 mandaty, FDP — 6,9 proc. i 34 mandaty oraz Zieloni — 5,6 proc. i 27 mandatów.

Przypomnę, ile procent głosów otrzymywały te partie w poprzednich wyborach do zachodnioniemieckiego parlamentu:

1949 r.: CDU/CSU — 31 proc., SPD — 29,2 proc., FDP — 11,9 proc.

1953 r.: CDU/CSU — 45,2 proc., SPD — 28,8 proc., FDP — 9,5 proc.

1957 r.: CDU/CSU — 50,2 proc., SPD — 31,8 proc., FDP — 7,7 proc.

1961 r.: CDU/CSU — 45,3 proc., SPD — 36,2 proc., FDP — 12,8 proc.

1965 r.: CDU/CSU — 47,6 proc., SPD — 39,3 proc., FDP — 9,5 proc.

1969 r.: CDU/CSU — 46,1 proc., SPD — 42,7 proc., FDP — 5,8 proc.

1972 r.: CDU/CSU — 44,9 proc., SPD — 45,8 proc., FDP — 8,4 proc.

1976 r.: CDU/CSU — 48,6 proc., SPD — 42,6 proc., FDP — 7,9 proc.

1980 r.: CDU/CSU — 44,5 proc., SPD — 42,9 proc., FDP — 10,6 proc. Zieloni (startowali po raz pierwszy) — 1,5 proc.

Jak wynika z tych liczb, w niedzielnym wyborach CDU/CSU uzyskały wynik gorszy tylko niż w 1957 r., natomiast SPD od 1961 r. nie poniosła takiej porażki, a w stosunku do 1980 r. utraciła 4,7 proc. głosów. FDP, mimo iż różnie jej wrócono, zdołała wejść do nowego Bundestagu, przekroczyła barierę 5 proc., podobnie stało się i z Zielonymi, którzy po raz pierwszy znaleźli się w zachodnioniemieckim parlamencie.

Co dalej? Kiedy piszę te słowa, wiadomo na pewno, że kancelarzem ponownie zostanie Helmut Kohl, niejasne jest jednak, kto obejmie tekę ministra spraw zagranicznych. Franz Josef Strauss, który przed samymi wyborami zajął postawę wyczekującą, będzie zapewne starał się wykorzystać fakt, że CSU zdobyła 53 mandaty, a więc o 17 więcej niż FDP. Panuje opinia, że właśnie Strauss pragnąłby wysadzić z siedla Genschera i przejąć z jego rąk sprawy zagraniczne. Czy Genschera zadowolili jedynie stanowisko wicekancelarza?

Kłótnia w rodzinie? Wszystko jest możliwe, niemniej po tej kłótni, jeśli by istotnie była, niczego sobie obiecywać nie należy. Chrześcijańska demokracja, umocniona po ostatnich wyborach, pozostaje przy władzy, a Helmut Kohl już w październiku ub.r. zapowiedział, że chce potraktować przedterminowe wybory jako wotum w sprawie dozbrowienia. CDU/CSU nie uzyskały wprawdzie bezwzględnej większości, czego bardzo pragnęły, ale i tak ten procent głosów, które zdobyły, daje im dużą swobodę działania, nam zaś nakazuje z największą uwagą obserwować to, co dalej będzie się działo nad Renem.

M. A. Jaworski

## KRONIKA

10 lat temu uruchomiono Narodowy Fundusz Ochrony Zdrowia. Od tego czasu lubelski komitet NFOZ przeznaczył na potrzeby regionu (budowa nowych szpitali i przychodni, zakupy sprzętu i aparatury) 782 mln zł, zebrałszy wszakże od społeczeństwa mniej, bo 590 mln zł. (192 mln zł uzyskano w formie dotacji Krajowego Komitetu Funduszu). Ostatnio nasza ofiarność zmalała, a trzeba wiedzieć, że bez takiego wsparcia służba zdrowia nie jest w stanie samodzielnie, przy pomocy środków budżetowych, stworzyć nam

lepszych warunków profilaktyki i leczenia. Jak one wyglądają, wiemy,

● „Złoty ekran 1982” tygodnika „Ekran” w kategorii widowisk artystycznych otrzymał Iganczy Gogolewski za inscenizację „Pierwszego dnia wolności” Leona Kruczkowskiego. Nasze gratulacje.

● Maleje popyt na motocykle WSK Świdnik, bo cena wehikułów wysoka (kilkudziesięciu kooperantów), a konstrukcja i tzw. osiągi pozostawiają nieco do życzenia. Zatem fabryka zabrała się do pracy nad nowym modelem — nie czekając z założonymi rękoma na nowoczesne, jak wieść niesie, silniki z Nowej Dęby, których dokumentację sama zresztą przygotowała.

● Z Nałęczowa znów donoszą, że kolejna zabytkowa willa popada w ruinę. Ma ona co prawda dwóch właścicieli, ale obaj mieszkają poza uzdrowiskiem. Kiedy zaś miasto chciało wykupić o-

biękt pn. „Brzozy”, jeden z posiadaczy domu zażądał opłaty w złocie! Willę zaprojektował wybitny architekt Jan Koszyczyk-Witkiewicz (którego przypomniało w roku 1981 Muzeum Kazimierza Dolnego, urządzając stosowną wystawę w Galerii Letniej).

● Ponad 50 pozycji wydawniczych (najnowsze: Janusza Albina „Polacy w Jugosławii”, zbiorowa „Polska literatura emigracyjna”), rozwinięte prace nad wyeksponowaniem 300-letniej rocznicy odsieczy wiedeńskiej, kursy dla nauczycieli i instruktorów polonijnych zespołów folklorystycznych — oto niektóre dokonania Polonijnego Centrum Kulturalno-Oświatowego UMCS, przedstawione na marcowym posiedzeniu Rady Naukowo-Programowej tej instytucji, znanej już dobrze i cenionej w kraju i za granicą.

● Lublin liczy 330 tys. mieszkańców, a w roku 2000 przekroczy pół miliona.

Prognoza ta uraduje zapewne osoby o wielkomiejskich aspiracjach, realistów zmuszając przecież do zadumy nad stanem lubelskiej drogi do rozwiązania problemów mieszkaniowych, komunikacyjnych, związanych ze służbą zdrowia, zaopatrzeniem w wodę etc.

● W wieku 87 lat zmarła Janina Milosiowa — właścicielka, a później po upaństwowieniu, dyrektorka średniej szkoły plastycznej w Lublinie, mieszczącej się po części w jej prywatnym mieszkaniu, w okresie okupacji będącej swoistym azylem dla młodych ludzi zagrożonych przymusowym wywiezieniem na roboty do Niemiec. Przez szkołę przeszło wielu znanych potem malarzy i grafików. J. Milosiowa była zarazem interesującą malarką; do najlepszych jej prac należą kolorystycznie pejzaże o lirycznym klimacie emocjonalnym. Czekamy na reprezentatywną wystawę dorobku J. Milosiowej.

# Początek drogi

Zdzisław Jerzy Czarnecki

„DEE epoki nie dają mi spać po nocach; kiedy stają koło poczty i patrzą na godło pruskie, ogarnia mnie duch wolności, kiedy widzę gazetę, szukam w niej postępów wolności” — tak pisał wiosną 1839 roku w liście do przyjaciela dziesięcioletni podówczas Fryderyk Engels. I chociaż szkic ten poświęcony jest innemu, niż adresat tego listu — jego przyjacielowi, Karolowi Marksowi, z którym Engels dopiero pięć lat później nawiąże trwałą przyjaźń i współpracę, fragment ów oddaje dobrze emocjonalną i ideową atmosferę, w jakiej kształtowała się myśl przyszłego twórcy materializmu historycznego i socjalistycznego działacza, który dla głęboko zakorzenionej w humanistycznej tradycji wizji bezklasowego społeczeństwa ludzi wobec siebie równych miał znaleźć nowe uzasadnienie teoretyczne. W chwili zaś, gdy stulecie, jakie właśnie upłynęło od jego śmierci, skłania do refleksji nad jego dziełem — nad wartością prognostyczną jego teorii i nad różnymi sposobami realizacji jego programu — warto cofnąć się do początku tej drogi, której śmierć przecież nie zakończyła, bo nie zakończone jest jeszcze samo dzieło.

Początek ów ujawnia bowiem nie tylko źródła inspiracji nowej wizji ludzkiego świata oraz teoretyczne mechanizmy kształtowania się jej w myśli samego Marksa. Ujawnia on także niepospolitą osobowość młodego, dwudziestokilkuletniego człowieka, otwartego na świat i jego problemy, gotowego, zgodnie z nieprzebrzmiałym jeszcze patosem romantycznym, do wzięcia na siebie prometejskiej roli, wbrew dotychczasowym bogom, twórcy nowego dla ludzi, jaśniejszego świata. W końcu należał przecież do pokolenia, które w nieco odmiennych warunkach historycznych wydało Konrada z Wielkiej Improwizacji.

Ale w każdym razie pierwszy rok studiów prawniczych, jakie w 1835 r. podjął w Bonn syn trewirskiego adwokata, gorącego wielbiciela radykalnych idei oświeceniowych i zarazem ostrożnego liberala, nie zapowiadał jeszcze przyszłej drogi. Raczej był tylko źródłem głębokiego zatroskania jego ojca. I to nie tyle z powodu, że młody Marks bodaj więcej uwagi zaczął poświęcać sztuce i literaturze, niż przedmiotom prawniczym, ile ze względu na nazbyt swobodny i cokolwiek hulawczy tryb życia świeżo upieczonego studenta.

Zgodnie więc z burszowską tradycją, nie zabrakło w tym pierwszym roku studiów ani kary aresztu za zakłócenie spokoju nocnego w stanie, powiedzmy, nieco nazbyt wesółym, ani, niegroźnej zresztą, rany odniesionej w pojedynku, ani też ustawicznych długów, które ojcu ciągle wypadło spłacać. Nie zabrakło też romantycznej miłości do pięknej baronówny Jenny von Westphalen, o której urodzie długo jeszcze będą w Trewirze krążyły legendy, ale która, wbrew owej romantycznej konwencji, zostanie jednak później żoną Karola Marksa. Zanim to jednak nastąpi, przez lat kilka będzie adresatką jego wierszy. Były to — zgodnie z duchem epoki — oczywiście wiersze o nieszożęśliwej miłości, nieuchronnym przeznaczeniu i dramatycznych serc, dziejących się w na polu baśniowej, na polu średniowiecznej scenarii. Sam Marks tak pisał nieco później o nich do ojca, mając na myśli swoje uczucia do Jenny: „Przy ówczesnym stanie mojego umysłu poezja liryczna musiała stać się pierwszym terenem moich ambicji literackich... Tęsknota do tak odległego celu, jak moja miłość, była moją jedyną radością, całą sztuką. Wszelka rzeczywistość rozplywała się i wszystko to, co stało się płynne, nie ma już granic, ataki na współczesność, szeroki nieokreślony strumień uczucia, wszędzie brak naturalności, bujanie w obłokach... oto cechy charakterystyczne wszystkich wierszy z trzech tomików, które Jenny dostała ode mnie”.

Zarówno owa dość surowa autoocena, jak i same tomiki wierszy, powstały jednak już w Berlinie, dokąd Marks przeniósł się (czy bodaj został przeniesiony na uniwersytet przez ojca zakłopotanego jego nazbyt swobodnym sposobem bycia w Bonn). I tu właśnie, już w ciągu pierwszych lat studiów, nastąpił zasadniczy zwrot. Zdecydował on jeszcze wprowadzić nie o późniejszych, dojrzałych poglądach Marksa, ale w każdym razie stał się warunkiem wejścia na samodzielną drogę poszukiwania własnego miejsca w świecie oraz własnej, na wskroś oryginalnej interpretacji świata.

Od pierwszego już bowiem semestru studiów w Berlinie Marks ujawnia się przede wszystkim jako — bez przesady — tytan pracy, stawiający sobie cele coraz ambitniejsze i nie zrażający się niepowodzeniami. Dwie okoliczności, towarzyszące tej pełnej dynamizacji, choć bardzo młodzieńczej ciągle, pasji

twórczej, warto wymienić: potajemne zaręczyny z Jenny, której chciał okazać się godnym wobec prawdopodobnego sprzeciwu jej rodziny i środowiska, oraz atmosferę berlińskiego uniwersytetu, który w kilka lat po śmierci Hegla stał się terenem, najżywszej bodaj w ówczesnych, konfrontacji teoretycznej i ideowej.

Zanim jednak do owych konfrontacji i sporów Marks się włączy, najpierw czuje się jeszcze przede wszystkim poetą. Oprócz wspomnianych już wierszy lirycznych do Jenny, próbuje pisać dramaty o romantycznej miłości skazanej na niepowodzenie („Oulanem”), obyczajową powieść satyryczną („Skorpion i Feliks”) oraz szereg epigramatów. Są one o tyle ciekawsze od wierszowanej twórczości lirycznej, że — z jednej strony — ujawnia się w nich już krytyczny stosunek do świata mieszczańskich wartości, z drugiej zaś — jak na epigona romantyzmu przystało — tęsknota do wartości innych niż te, jakie sugeruje „mędrca szkiełko i oko”. Że była to raczej tylko konwencja w duchu epoki, niż spontaniczna i rzeczywiście przeżyta wizja świata, widać bodaj najwyraźniej w konfrontacji tej twórczości z tętnącą znacznie większym autentyzmem inną dziedziną zainteresowań Marksa, która ujawniła się już w pierwszych miesiącach jego studiów berlińskich. I to w niej właśnie, a nie w literaturze, miał Marks ryć chłó odnaleźć swoją własną drogę, choć i na niej niejedną raz będzie dokonywał radykalnego przewrótów swoich własnych wcześniejszych poglądów, zanim zarysuje teorię — i wynikający z niej program polityczny — które na trwałe zostaną związane z jego nazwiskiem.

Tą drugą dziedziną była oczywiście refleksja teoretyczna nad osobliwościami ludzkiego świata — nad jego dziejami i strukturą. Pierwszej bodaj okazji do podjęcia tej problematyki dostarczyło Marksowi słuchanie wykładów z prawa przedstawicieli dwóch zwalczających się tendencji teoretycznych i politycznych — Savigny’ego i Gansa. Według pierwszego z nich, wszelkie prawo pozytywne zakorzenione jest w historycznej tradycji zaś jego istotne treści utrwalone zostały już w prawie rzymskim. Drugi zaś, idąc za myślą heglowską, w historycznej zmienności norm prawnych widział kolejne etapy duchowego rozwoju ludzkości, która bezustannie generuje nowe formy świadomości, także świadomości prawnej.

Jak łatwo zauważyć, były to teorie

opozycyjne także pod względem konsekwencji ideowych. Pierwsza postulowała akceptację zastanej rzeczywistości prawnej jako uświęconej tradycją — druga natomiast, zgodnie z duchem liberalnym tworzącej się epoki, wyrażała potrzebę odrzucenia starych i tworzenia praw nowych. Otóż w atmosferze tej teoretycznej i ideowej zarazem konfrontacji próbuje Marks pisać swe pierwsze wielkie dzieło — traktat z zakresu filozofii prawa.



Karol Marks jako student 1836 r. Reprodukcja ze zbiorów Biblioteki im. Łopacińskiego.

Repr. W. Stępień

Miała to być bodaj próba pogodzenia obu oponentów w nowej syntezie teoretycznej. Zamyśl jej polegał na tym, by z prawa rzymskiego, pojętego jako zbiór pierwotnych, powszechnie obowiązujących zasad, wyprowadzić w duchu postheglowskiego ewolucjonizmu Gansa późniejsze systemy prawne jako ich logiczną i historyczną konsekwencję. Oczywiście, zamyśl ten udał się nie mógł, bo — ale tego Marks sam dowiódł dopiero po kilku latach — kolejne formy świadomości historycznej związane są innymi niż tylko logiczne więziami.

Na razie zaś, po napisaniu kilkuset stron traktatu, który się zresztą nie zachował, jego autor, podówczas ciągle jeszcze student prawa, zwraca się w stronę filozofii. Z dwóch zresztą różnych powodów. Po pierwsze — dostrzegł, że pociągający go problem historycznej zmienności praw zakorzeniony jest w filozoficznej refleksji nad naturą procesu historycznego. Po drugie zaś — w dominującym właśnie w Berlinie heglizmie dostrzegł Marks pewne niebezpieczeństwo. Dla młodego Marksa bowiem, niezależnie od przyja-

Dokończenie na str. 4

## Trzy struny milczą

BIEG wydarzeń zrzucił, że artykuł Jana Pieszachowicza „Illa” („Literatura” nr 2) o Kazimierze Ilakowiczównie stał się epitafium. Wkrótce po jego ukazaniu się przeczytaliśmy w prasie wiadomość o śmierci poetki.

Sądziłoby się — świadkowie wydarzeń literackich międzywojnia, a i okresu wcześniejszego — że po śmierci Jana Parandowskiego, Jarosława Iwaszkiewicza i Henryka Worcella los nam zostawi przynajmniej to jedno nazwisko wśród żywych jako arkę przymierza między dawnymi a nowymi laty. Ze jakoś uda się oszukać czas, który, oby jeszcze trochę, ile można mieć nadziei, zapomni o swoich powinnościach. Tymczasem stało się. Nic

nie zostanie napisane na przedłużeniu ani „Kawrowych lotów”, ani „Trzech strun”.

Właściwie — zorientowana na współczesność opinia literacka w fakcie, że „już nigdy” może nie odczuwać straty. Istnieje wiele poetek — Lechoń, Leśmian, Czechowicz, Staff — których prolongata w dzień dzisiejszy nie jest możliwa. Ale jest coś w tym, że sama obecność poetki, mimo jej nieobecności na rynku, ważyła w starciu stanowisk w zderzeniach koncepcji i ocen. Autorytet? Osobliwego byłby rodzaju. Ilakowiczówna od dawna nie zaznaczała swego stanowiska w sporach literackich. Właściwie nie zaznaczała nigdy. Ze z przekąsem wyrażała się o krytyce nawet afirmującej, można uznać za normalne: żaden poeta nie uznaje za partnera dyskusji swego recenzenta, gdyż w przeciwnym razie recenzent musiałby okazać się poetą. Ale autorka „Połowy” w sprawach poezji nie wypowiadała się poza wierszami. A jeśli, to

tylko ubocznie, z humikiem, z mylnym tropem, na domysł wnikliwego czytelnika. Na przykład: „Nieraz, kiedy natrafiam na uczone wywody na temat starych lub nowych wierszy, ogarnia mnie prawdziwe zażenowanie. Ileż pobudek się w nie wczytuje, z jak głębokich źródeł. Prawda leży zwykle daleko głębiej pod powierzchnią, niż chce tego uroczysta historia literatury, i nie bywa przeważnie ani wzniosła, ani poetyczna. Ot, tam gdzie człowiek nie obciążony zdolnością wierszowania sięga do najrozmaitszych środków: ziewa, pije wódkę, zażywa jakiegoś gwałtownego sportu, źle się prowadzi, wpada w najgorszy humor, wali kogoś w szcękę — tam poeta pisze wiersz”. Jakże z sztyrem należy czytać wyznania poetów! Czy tak nisko jeden z nich ocenia swoje zajęcie? Potrzeba w tym usłyszeć wyznanie twórcy, który chce być jak najbliższej życia, twórcy protestującego przeciw izolowaniu się od „dolów” przez wdrapywanie się na poetycką wieżę z kości słoniowej.

A przecież właśnie Ilakowiczównie było dane ulec pokusie parnasizmu. Gruntowne wykształcenie humanistyczne, studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, a także w Oxfordzie, znajomość języków obcych, atmosfera high life’u (referendarz w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, sekretarka marszałka Piłsudskiego, autorka odczytów w Lidze Narodów) — to wszystko powinno stać się wiadomym formantem losu i kondycji społecznej. Tymczasem w twórczości poetyckiej — tym najistotniejszym wykładnikiem indywidualności — sprawy jak najbardziej powszednie adres na zwykłych ludzi. Nie sposób całociel poeta zamknąć cytatem jednego wiersza, ale ogólny ton da się uchwycić. Oto:

### OSTATNIA PRÓBA

Tylko jeszcze świerzsza posłucham wiosennego pod oknem w murze, tylko jeszcze z brzu kwitnącego sobie szczęście, szczęście wywrózę

Tylko jeszcze pokończę stare, od nowego by weszczę rachunku, tylko jeszcze chwilę zaczekam twych, wybranych, ust pocałunku.

Należała do „Skamandra”. Mimo to anegdota nie przekazuje ani jednego jej udziału w facecjach, w manifestacjach poetyckich, których tyle mieli na rozkładzie „pikadorczyzy”, „cyrulicy warszawscy”, „quiproquanci”. Nie dziwnego. Wyznawany rodzajem poetyki, pozycją towarzyską była do nich zbliżona, ale osobistym charakterem oddalona od jakichkolwiek literackich zbiorowości. Outsider, jeśli nie pustelnik poezji.

Osobliwą właściwość ma też jej wiersz. Mimo tak znacznej siły lirycznej, mimo zdolności wejścia w przyjęcie przecież wymagającego czytelnika, ani odruchu starania o formę, o metaforę, o środki stylistyczne. To wszystko było, ale nie osiągnięte: powstałe naturalnym wzrostem słowa. Słowa, które lekceważyło cyzelatorskie, dekoratorskie zabiegi. Tropy Ilakowiczówny są jakby zatrzymane w połowie drogi, poetka wstydyła się wszyskiego, co od świadectwa ludzkiego cierpienia odchodzi w stronę sztuki.

90 lat. To choćby z tego powodu materiał nie ma kilka słów. O wielu ewenementach z Jej życia nie ma tu jednak ani wzmianki. Bo po śmierci Kazimierzy Ilakowiczówny niemożliwa jest nota redakcyjna. Możliwy jest skurcz czytelniczego serca.

Z. M.

# Początek drogi

Dokończenie ze str. 3

ciowych oczarowań romantyzmem, wychowanego w końcu na tradycjach oświeceniowego racjonalizmu, którego atmosferą oddychał w domu rodzinnym, spekulatywna i dialektyczna zarazem filozofia Hegla jawi się najpierw jako bezsensowny niemal bełkot „słów pomieszanych w szatańskiej gmatwaninie”, jak pisał w jednym z epigramatów poświęconych właśnie Heglowi. Postanawia więc określić swą odrębność teoretyczną wobec niego. Pisze traktat filozoficzny i w tym celu rozpoczyna głębsze studia nad Heglem.

Przedsięwzięcie to kończy się w sposób zupełnie nieoczekiwany i niezamierzony. Epizod ów znamy znowu wyłącznie z kolejnego listu do ojca, który był, jak widać, powiernikiem zarówno Łasknota Marksa do Jenny, jak i kłopotów teoretycznych z podstawami prawa i filozofii. „Czytałem — pisał w listopadzie 1837 r. — fragmenty filozofii heglowskiej, której dziwaczna melodia mi nie odpowiada... Chciałem jeszcze raz dać nurka w to morze, ale teraz w określonym celu: chciałem stwierdzić, iż rzeczywistość duchowa jest tak samo konieczna, konkretna i określona jak rzeczywistość materialna. Napisałem dialog... pod tytułem *Kleantes*, czyli o punkcie wyjścia i koniecznym rozwoju filozofii”. O tym zaś, co się dalej stało w trakcie lektury Hegla i pracy nad owym dialogiem, pisze Marks następująco: „Moje ostatnie zdanie było pierwszym zdaniem systemu heglowskiego i w końcu ta praca... najukochańsze moje dziecko, wyniacone w tajemnicy przed światem, niesie mnie jak podstępna syrena w objęcia nieprzyjaciela”.

No i w ten sposób, rzecz by można, stało się. Marks wpada w teoretyczne sieci heglizmu, przed którym chciał się obronić, a przy okazji już wkrótce poświęcił się wyłącznie studiom z filozofii, zarzucając z czasem prawo całkowite. Heglizm zaś, ku któremu zaczyna się przychylić i w którego bezpośredniej orbicie pozostanie jeszcze przez kilka lat, zanim w kolejnym studium poświęconym heglowskiej filozofii prawa (1843) nie uświadomi sobie zasadniczych różnic między intelektualną tradycją berlińskiego mistrza, a własną, rodzącą się koncepcją materializmu dziejowego, był też heglizmem szczególnym, dość bodaj dalekim od intencji samego Hegla. Oto bowiem radykalna i lewicująca grupa teoretycznych spadkobierców Hegla, z jego filozofii, według której w historii dotychczasowej wszystko zmieniło się w sposób konieczny, ponieważ proces historyczny polega na rozwoju idei wolności i racjonalności, wyprowadziła pewną konkluzję polityczną. Tę mianowicie, że wolność człowieka i racjonalność instytucji społecznych musi urzeczywistnić się w bliskiej przyszłości.

et oraz że jedną z głównych przeszkód w tym dziele jest istnienie państwa pruskiego w jego ówczesnej postaci na polu feudalnej stanowej monarchii. Był to więc heglizm zrewolutowany teoretycznie i zarazem pracy do rewolucji politycznej; heglizm, który od wcześniejszej apologii państwa jako struktury racjonalnej, bo poddającej się reformowaniu, przeszedł do wniosku, iż istniejąca rzeczywistość polityczna zreformowana być nie może — że może być tylko zniesiona na drodze rewolucyjnej — choć oczywiście nie o rewolucję kwestionującą prywatną własność środków produkcji tu chodziło.

Otóż młody Marks rychło stał się jednym z bardziej aktywnych i wpływowych uczestników tak właśnie zinterpretowanego heglizmu, który z filozoficznej teorii przekształcił się w radykalny i demokratyczny ruch polityczny. Działalność teoretyczna Marksa przesuwa się wyraźnie na płaszczyznę zainteresowań filozoficznych zmieniających do uzasadnienia przewodniej dla całej lewicy heglowskiej tezy, że rozwój uświadamianej wolności jest właściwym motorem dziejów. I choć teza ta nie miała oczywiście jeszcze nazbyt wiele wspólnego z koncepcją, jaką wkrótce Marks stworzy w polemice z niegdysiejszymi towarzyszami bojów politycznych toczonych w imię samorealizującej się w dziejach idei wolności, była ona jednak koniecznym ogniwem poprzedzającym rychło już stworzenie nowej teorii. W każdym razie jeszcze praca doktorska Marksa z historii filozofii starożytnej była próbą uzasadnienia owej młodoheglowskiej koncepcji. Z pracą tą wiązały się zresztą nadzieje i samego Marksa, i jego przyjaciół na karierę naukową jej autora. Nadzieje tym żywsze, że wcześniej zaczęto dostrzegać, iż możliwościami intelektualnymi przerasta on swoje środowisko. Jeden ze współczesnych mu tak charakteryzował go w liście: „Mimo że pracuję na tym samym polu, postać ta zrobiła na mnie kolosalne wrażenie; krótko mówiąc, nastaw się na to, że poznasz największego, a kto wie, może jedyne wśród współczesnych prawdziwego filozofa, który niebawem, gdy wystąpi publicznie (na katedrze i w druku), zwróci uwagę na siebie całych Niemiec... Dr Marks, tak bowiem nazywa się moje bożyszcze, jest jeszcze całkiem młodym człowiekiem liczącym najwyżej dwadzieścia cztery lata, który zada śmiertelny cios średniowiecznej religii i polityce”.

Wbrew nadziejom uniwersyteckim, filozofem w Bonn Marks nie został. Rozpoczęła się zresztą w r. 1841 nowa faza politycznej walki między radykalnym heglizmem a feudalną rzeczywistością państwa pruskiego. Ale właśnie w tej walce sam Marks miał uświadomić sobie iluzoryczność dotychczasowej swojej i swoich przyjaciół wizji idealnego społeczeństwa ludzi, wprawdzie formalnie wolnych, lecz pozornie tylko równych w sytuacji, w której przedmiotem prawnej i politycznej ochrony jest nieograniczone prawo do prywatnego posiadania i do eksploatacji pracy grup społecznych pozbawionych własności.

Zdzisław Jerzy Czarnecki

## EKRAN I WIDZ

# ŻANDARM IDZIE DO NIEBA

KILKA lat temu oglądałem we francuskim tygodniku ilustrowanym duży fotoreportaż, który można by zatytułować: „Żandarm na wsi”. Jeden z najwybitniejszych francuskich komików filmowych, bohater tyłu zwirowanych komedii o żandarmie-oryginalie z Saint-Tropez, niezastąpiony Louis de Funès, pokazany był w życiu prywatnym — na spacerze, wśród koni, na traktorze we własnej farmie gdzieś w ciszy francuskiej prowincji. Niedawno wyszedł ze szpitala po ciężkim ataku serca i ebiel raz nareszcie dobrze odpocząć, odgrodzić się od tego szalonego świata, który przez tyle lat kreował, aby oderwać widzów, przynajmniej na dwie godziny, na czas kinowego seansu, od smutku codziennej egzystencji. Za kierownicą potężnego traktora, drobny, czarniawy, z tym swoim wydatnym, śmieszny nos, z nerwową twarzą w której błyszczały inteligentne sprytne oczy, ubrany w grubą wełnianą kurtkę i brązowe sztruksowe spodnie, wyglądał jak uosobienie przeciętnego, prowincjonalnego Francuza...

Ta właśnie „przeciętność”, ta „typowość” — oczywiście przetworzona artystycznie, wymodelowana na sposób komedijny, wyostrzona do granic inteligentnej satyry — była głównym atutem sukcesów filmowych Louisa de Funès. Więcej: de Funès potrafił w tworzonych przez siebie postaciach połączyć ów satyryczny obraz przeciętnego Francuza — młoty oczyma współrodaków — z wyobrażeniem „typowego” Francuza, jakie ukształtowało się przez wieki w innych krajach. Właśnie dlatego każde kolejne wcielenie de Funès trafiało do przekonania widzów na całym świecie. Pamiętacie te nerwowość, te nagłe ataki zabawnej furii, kiedy walił wszystkich naokoło po głowach, gdy w niemal dziecinny sposób przedrzeźniał z pasją swych interlokutorów, ten śmieszny, szybki, lekko posuwisty krok? Jego bohaterowie byli inteligentni, przebiegli, precyzyjnie myślicy, tylko że... wcale nie im coś nie udawało. Wpadali bezustannie w niezwykłe tarapaty z których zresztą ostatecznie jakoś wydobywali się z szelmowskim uśmiechem na ustach.

Nie należał do komików „intelektualnych” jak Jacques Tati czy Pierre Etaix, nie sięgał do nuty liryzmu na wzór Fernandela, a jego żywiołowość była całkiem inna, bardziej żarząca od tej, jaką reprezentował Jean Pierre Cassel. Nie chciał też potrącać „głębokich strun” ludzkiej duszy, tak jak to czynił nieraz Bourvill. Lublił grubą kreskę, wyraźny kontrast. Właśnie na zasadzie kontrastu — w bardzo różny sposób stosowanego — opierały się wszystkie jego słynne filmy, te, które zdobyły masową widownię. W „Gamoniu” — gdzie występował razem z Bourvilem, wyznaczył sobie rolę impetycznego szefa gangu rywalizującego z nalatnikiem-turystą, który przy całej śmieśności okazuje się przecież prawdziwym mężczyzną. Jako historyczny i niezbyt mądry komisarz Juve próbował wsołować z niepokonanym, nadludzkim Fantomasem, którego kreował ulubieniec wszystkich pensjonarek świata — Jean Marais. Gdy w „Mani wielkości” wcielił się w postać granda hiszpańskiego, to zaraz za przełomem miał Ivesa Montandę. W serial filmowy o przynależności i perypetiach „Żandarma” de Funès miał swykie u boku atrakcyjną kobietę — należał do swych filmowa córka — której asystował również atrakcyjny amant. Zabawny i staromodny w podziałach, „Żandarm” strzeł porażki w słynnym Saint-Tropez, gdzie nie wiadomo już co bardziej podziwiać: zmasowane niekone przynory czy masy rozbitych wesołowców...



Na sukces pracował de Funès przez wiele lat. Mimo że zagrał w ponad stu dwudziestu filmach, gwiazdorem stał się dopiero po pięćdziesiątce. Uważano go za mistrzowską postać drugoplanową, właśnie owego „typowego Francuza”, który potrzebny był prawie każdemu reżyserowi do „podrysowania tła” głównego wątku fabularnego. Już we wczesnych latach powojennych oglądaliśmy de Funès w „Niebo czy piekło” w „Antonim i Antoninie”, „Taksówce nr 3333”, „Poznanych noca”. Występował u boku Pierre'a Lamoureaux w filmach o typowej francuskiej rodzinie — „Tata, mama, gospośnia i ja” oraz „Tata, mama moja żona i ja”, w „Półgłówku”, „Czarnym rynku w Paryżu”, „Krajozniku szos” itd. Naprawdę jednak szczęście uśmiechnęło się doń w 1963 r., gdy zagrał dużą rolę w „Poule-Pouic” i wtedy właśnie rozpoczęło się pasmo jego niesamowitych filmowych przygód z Fantomasem i gangsterami i złodziejczkami i młodymi pięknymi paniami, z niemieckim Gestapo i z... grupa oferowanych rodzimych żandarmów, którym przewodził jako szef posterunku w nadmorskim miasteczku. „Żandarm się żeni”, „Żandarm na emeryturze”, „Żandarm w Nowym Jorku”... Tych filmów nasyconych słońcem, radością życia, niezwykle dynamicznych, pełnych bezustannych zwirowanych pogoni i ślapstickowych sytuacji, filmów kończących się nieodmiennie happy-endem, nie zapomni nigdy Pozostała dla nas jak uśmiech młodzińskich wakacji, jak beztraska przygoda, jak seans magiczny. Bo jeżeli istotnie kino jest magią — jak twierdzą krytycy — to Louis de Funès odwoływał się do tego wszystkiego, co stało u podstaw ludzkiej fascynacji „latarnią czarokoleską”: do światła ruchu i śmiechu. Tak jak to robił na początku stulecia Mack Sennet wraz ze swoją gromadą zwirowanych polejantów. Postawienie w filmach z de Funès właśnie na ludyczność — tak jak to miało miejsce u początków kina amerykańskiego — to jeszcze jedno wytłumaczenie sukcesów owejże o komisarz Juve „Żandarmie”, „Hibernastwie”, „Oskarze”...

Po kilkuletnim odpoczynku Louis de Funès powrócił na plan filmowy. Zobaczyliśmy go jeszcze w „Skrzydłku czy nóżce”, w „Żandarmie w Nowym Jorku”. Ale serca nie można eksplloatować w nieskończoność. Niedawno szalony „Żandarm” wybrał się w swoją ostatnią podróż. Tam, gdzie już wcześniej odeszli Fernandel i Bourvill. Co za szkoda, że już go nie ma wśród nas...  
M. D.

## OKOLICE SZTUKI

### JAŚNIEJ W BIAŁEJ

SZESCIOKROTNIENIE do Janowa Podlaskiego zjeżdżali na plenery malarze, przede wszystkim, i nieliczni fotograficy, by podglądać piękne konie z tamtejszej stadniny oraz nadbużańskie pejzaże. Towarzystwo krocilo się kolo stajni „zegarowej” Marconiego, wiozły się po łąkach i pastwiskach, no i z tego wszystkiego powstawały różne obrazy, nierazdo zresztą znakomite w swoim rodzaju. Mimo wszystko zastanawiałem się czasami, jaki pożytek przynosi impreza kulturalna województwa i samej Białej Podlaskiej, która sporo środków i energii ludzkiej zainwestowała w plenerowy interes. Na pierwszy rzut oka sprawa wydawała się jednoznaczna: oto z Warszawy, Krakowa, Wrocławia, Szczecina, Gdyni, Łodzi, Bydgoszczy, Lublina i z pomniejszych miast przyjeżdżają do Janowa artyści, ludzie nietypowi, którzy swoją obecnością stwarzają klimat pewnego podniecenia w tamtejszym środowisku społecznym, mającym okazję obserwować na żywo, jak rodzi się sztuka, prezentowana następnie na wystawach w polskiej stolicy araabów i w tzw. szczył białkopodlaskiego WDK. Jeśli dodamy, że w plenerach brali udział także plastycy z Australii, Argentyny,

Francji, USA i Węgier, doszukiwanie się w imprezie treści poznawczych, estetycznych i ludycznych nie wyda się chyba czynnością mistyfikującą realny obraz sprawy, która w takiej interpretacji zyskuje na wartości. A gdy jeszcze wspomnimy, że sporo obrazów spod Wygody w Janowie trafiło do Muzeum Okręgowego w Białej, stając się zaczynem dość oryginalnej kolekcji pn. koń w malarstwie współczesnym, pytanie o pożytki płynące z plenerów zda się retoryczne.

Na pierwszy rzut oka wszystko zatem przedstawia się tak ładnie, jak koniki na płótnach wiszących w różnych urzędach wojewódzkich miasteczka szczytującego się wyższą szkołą sportową, „Białewna” i zajazdem „U Radziwiłła”. Tymczasem sądzę jednak, że urządzanie kolejnych plenerów ogólnopolskich w Janowie, poświęconych tematyce hipologicznej czy pejzażowej, będzie czynną dyskusyjnym, jeśli ludzie odpowiedzialni za kulturę Białej Podlaskiej nie potraktują na serio lokalnego środowiska plastycznego, które już tam powstało, jest i działa.

Hóg mi świadkiem, że kocham konie, lubię kwiatki i laki zielone, a do malarzy stołecznych, krakowskich oraz zagranicznych (na ogół polonijnych), jacy wizytują Janów, pretensji nie wnoszę. Faktem przecież pozostaje, że nie w urodzie malowanych tematów spełnia się sens sztuki współczesnej, a wakacyjnej, na polu relaksowej, Galopady nadbużańskie wychowawców Kosakowej rodziny tylko okazjonalnie odcierają się o kwestie upowszechniania kultury. Tutajszą kulturę mogą rozwijać tylko tutejsi — w długotrwałym procesie, którego skuteczność zależy od ludzkich kwalifikacji, energii i emocji, ale także od środków, jakimi przyszło im dysponować.

Niedawno widziałem w Białej Podlaskiej wystawę białczan — uczestników pleneru, zorganizowanego przez WDK i tamtejszy

klub jeździecki. Urządzona w idealnym na tego rodzaju imprezy budynku nie istniejącej już „Dezy” (zbankrutowała), agromaszyn obrazu, rysunki i grafiki naszpikowanych autorów: Ewy Borowskiej, Małgorzaty Borowiec-Gajos, Macieja Falkiewicza, Mieczysława Gajosa, Janusza Maksymlika, Edwarda Mikołajczaka, Stanisława Olesiejuka, Urszuli Olesiejuk, Jacka Spisackiego, Mieczysława Skalmowskiego i Joanny Szejn-Kus, która poza rysunkiem i olejnym „Smem” pokazała też szalową tkaninę o całkiem interesującej strukturze.

W tej grupie przeważali ludzie młodzi, dwudziestokilkuletni, co warto zapamiętać. Jedna osoba legitymowała się dyplomem warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, inna ukończyła m.in. Wydział Sztuk Pięknych UMK w Toruniu, siedem (!) — Instytut Wychowania Artystycznego UMCS, dwie — średnie i nieco wyższe szkoły plastyczne. Można zatem powiedzieć jednoznacznie, że 22 stycznia o godzinie 17 w galerii „Debuty i Prezentacje” przy ul. Dzierżyńskiego w Białej Podlaskiej otwarto ekspozycję malarzy i grafików znających się na rzeczy, w zasadzie przygotowanych do wykonywania zawodu plastyka. Tymczasem tylko jeden z uczestników wystawy został przyjęty dawno do ZPAP, bo w myśl aktualnego statutu związku należeć doń mogą jedynie absolwenci ASP i PWSSP, choć trudno doprawdy udowodnić, że uczelnie tego typu kształcą lepiej od np. pokrewnych kierunków UMCS czy UMK, mających profil pedagogiczny, a więc intelektualnie bogatszy, co nie jest chyba sprawą blaha w czasach sztuki refleksyjnej, autotematycznej, mentalnej. Owszem, stosowne przepisy umożliwiają przyjęcie do ZPAP osób bez dyplomu wspomnianych uczelni, na podstawie prac przedstawionych komisji związkowej, ale jest to bardzo trudna droga — takis i z tego względu, że komisja nie

rują się kryteriami wielce elastycznymi. No coż, ZPAP od dawna cierpi na niepomaganie, co okazuje się być wyjątkowo dotuczliwe w okresie kryzysu na rynku plastyki użytkowej, i broniąc się zawzięcie przed napływem ludzi „z boku”, nierazko wywiera dźwieć z kapielą. Przynajmniej wszakże, że gdyby odpowiedzialna komisja zjechała do Białej w czasie trwania wspomnianej wystawy, związek powiększyłby się o jakieś cztery osoby.

Naturale, pokaz w galerii „Debuty i Prezentacje” miał swoje lepsze i gorsze punkty. Obok prac sprawnie wykonanych, rozwijających się wokół uchwytnej koncepcji ideowej, spotkać było można malowiska zbudowane chaotycznie, powierzone w autorskim przesłaniu, nijakie, interesujące przy tym, że białscy malarze i graficy chętnie, bez względu na przynależność pokoleniową, posługują się formułą metaforyczną i symboliczną (Edward Mikołajczak, Stanisław Olesiejuk, Joanna Szejn-Kus). Zdaje się, że nie uosamiamia oni sztuki wyłącznie z procedurami technicznymi, co dotyczy także Macieja Falkiewicza, choć malarz ten ciągle pamięta o szkole kolorystycznej, zresztą dobrze.

Białczanie myślą o następnych wystawach, o powołaniu Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych — choć kryzys huczy wkolo nas! Jednocześnie obawiają się, że niektórzy z nich, pracujący np. w szkole, nie opuszczą miasta z braku jakiegokolwiek ludzkiej perspektywy na otrzymanie znośnego dachu nad głową, a budynek galerii zajmie jakiś inny Instytut. Osobiście nie podzielam jednak tych niepokoiów, bo na własne oczy widziałem przedstawicieli wysokich władz wojewódzkich którzy przybywszy na wernisat wiadomej wystawy, wdali się w ciepłe rozmowy z autorami prezentowanych obrazów...  
LJK.

**O** MAŁO nie zostałem zawodowym aktorem. Wiosną 1956 r. lubelski Teatr im. Osterwy poszukiwał kogoś, kto mógłby zagrać epizodyczną rolę młodego włoskiego chłopaka, Giacomo, w przygotowywanej właśnie sztuce Piotra Arystydesa Bréala — „Huzarzy”. Szyły równocześnie próby „Nauczyciela tańców” Lope de Vegi, i niezbyt wówczas liczny zespół aktorski teatru był już w pełni wykorzystany. Zgłosiłem się u reżysera „Huzarów”, Andrzeja Dobrowolskiego, i po przegzaminowaniu — zostałem przyjęty. Potraktowano mnie jako adepta, przed którym otwierala się w przyszłości możliwość zdawania eksternistycznego egzaminu aktorskiego. Za każdą próbę miałem otrzymywać dwanaście i pół złotego, a za przedstawienie — trzydzieści pięć złotych, co było — jak na tamte lata i na moją studentką kieszeń — stawką całkiem godziwą. A do stałem też stałe miejsce w garderobie aktorskiej, komplet szminek i zajęcza łapkę do pudrowania, co już w pełni pozwoliło mi się czuć Ludwikiem Solskim i Juliuszem Osterwą w jednej osobie.

„Huzarzy” to tragifarsa, której akcja dzieje się w dobie Wielkiej Rewolucji Francuskiej, w czasach, gdy wojska generała Bonaparte walczą we Włoszech. Na rodzinę drobnego kupca tekstylnego Józefa Lippi spada nagle nieszczęście: oto dwaj huzarzy — Le Gouse i Filcot — dezertują z armii francuskiej, mając już po dziurki w nosie wojny i wojska, i postanawiają ukryć się w domu Lippich. A jak wiadomo, za przechowywanie dezertorów grozi kara śmierci... Sztuka jest niezwykle zabawna, obfituje w szereg błyskotliwych dialogów, „greców” i „odzywek”, dając doskonale możliwości wygrania się aktorom o komicznym emplot. W lubelskim przedstawieniu, reżyser znalazł naprawdę świetnych wykonawców czolowych ról. Para Le Gouse — Filcot grał: utalentowany komik Juliusz Grabowski oraz ulubieniec lubelskiej publiczności, pamiętny wówczas z niedawnej kreacji Mazurek — Piotr Kurkowski. Kapitałnie wcielił się w rolę Józefa Lippi młodego, wybitnie zdolny aktor Zbigniew Roman. Który dotąd uważany był za specjalistę od ról z wielkim repertuaru romantycznego. Poza tym grał — obdarzona prawdziwym scenicznym temperamentem, Hanna Ziolkowska, Stefania Cybulska (Chmielarczykowa), Elżbieta Skorynińska, Marian Drozdowski, Zygmunt Tadeusik, Zbigniew Woytowicz, Andrzej Chmielarczyk, no i niżej podpisany.

Dla mnie uczestniczenie w „Huzarach” było nie tylko pracą, nie tylko nauką, ale może przede wszystkim — ogromną przygodą, spotkaniem ze światem „prawdziwego” teatru. Którego nigdy się naprawdę nie zrozumie do końca i nie pokocha, jeżeli spogląda się nań tylko od strony widowni. Trafiliem zresztą na jeden z najciekawszych okresów w historii lubelskiej sceny. W wiele lat później, w przedmowie do książkowego wydawnictwa opracowanego z okazji trzydziestolecia Teatru im. Osterwy, Maria Bechcysz-Rudnicka tak określiła lata 1955—1958: „Lata dyrekcji Zdzisława Lorenowicza charakteryzuje nasilone zainteresowanie się zespołu sprawą kryteriów artystycznych, zdecydowane ustawienie prób na płaszczyźnie dyskusyjnej, wprowadzenie do repertuaru nowych sztuk krajowych i zagranicznych, poruszających problemy, które żywo obchodzą współczesnego widza; wreszcie — zaproszenie do współpracy wybitnych reżyserów (poza stałym reżyserem Wandą Laskowską — Jana Kreczmara, Józefa Wyszomirskiego, Marii Wiercińskiej, Andrzeja Dobrowolskiego, Jana Maciejewskiego, Marii Straszewskiej, Jerzego Golińskiego) i scenografów (poza stałym scenografem Teatru im. J. Osterwy, Jerzym Toronczykiem, scenografię projektują m.in. — Wojciech Krakowski, Lech i Michelle Zahorscy, Krzysztof Pankiewicz, Teresa Targońska)”.  
Publiczność lubelska oglądała wówczas „Mazurek” Juliusza Słowackiego, „Kaprysy Marianny” Musseta, „Nauczyciela tańców” Lope de Vegi, „Pałazę” Schillera, „Ucznia diabła” Shawa, „Ararat” Swinarskiego, „Fantazego” Słowackiego, „Króla włóczków” Mac Carthyego, „Zaorosenie do zamku” Anouilha, „Intrygę i miłość” Schillera, „Nore” Ibsena, „Nie igra się z miłością” Musseta...

Poznałem w owym okresie wiele osób z kręgu teatru: niektóre ze znajomości przerodziły się w prawdziwe, wieloletnie przyjaźnie.

Podczas jednej z prób „Huzarów” za kulisami pojawiła się starsza, wysoka, bardzo prosto trzymająca się pani, do której wszyscy zwracali się: „pani Mario”. Była to Maria Bechcysz-Rudnicka, od 1947 r. kierownik literacki Teatru im. Osterwy, a od 1952 r. także współredaktor (wraz z Kazimierzem Andrzejem Jaworskim) „Kamenu”. Znałem ją dobrze z widzenia; na ulicy widywało się ją zawsze idącą pod rękę z mężem, Edwardem Wrocławem, znanym muzykologiem, który po przebytym wylewie musiał być otoczony szczególnie troskliwą opieką. Oboje przywędrowali latem 1944 r. piechotą spod Warszawy do Lublina i zgłosili się do pracy w PKWN. Edward Wrocław został mianowany wówczas kierownikiem Wojewódzkiego Wydziału Kultury, a Maria Bechcysz-Rudnicka jego zastępcą. Potem, za dyrekcji Maksymiliana Chmielarczyka, przeszła do pracy w teatrze. O pani Marii szeptano, że za czasów młodości była frejliną na dworze cesarzowej Aleksandry w Petersburgu, co tworzyło wokół niej „arystokratyczną” aure, ale było absolutnie wyssane z palca. Natomiast prawdą jest, że pochodziła ona z bogatej rodziny ziemiańskiej i na przełomie stułecia studiowała w petersburskim Instytucie Błogosławionych Dzievic, między innymi pod kierunkiem słynnego historyka Tarlego. Bardzo wykształcona, władająca biegle kilkoma językami, znająca się doskonale na teatrze i muzyce, literatka i dziennikarka, będąc kierownikiem literackim Teatru im. Osterwy stanowiąła rzadki u nas przykład właściwej osoby na właściwym stanowisku. Redagowane przez nią przez wiele lat programy teatralne były najlepszą wizytówką lubelskiego teatru; wkładała w przygotowanie ich i wydanie ogromny zapal. Przełożyła kilka sztuk, z rosyjskiego i francuskiego, które były grane nie tylko na lubelskich deskach teatralnych, pisywała też słowa piosenek dla potrzeb sceny.

Maria Bechcysz-Rudnicka tłumaczyła także teksty polskich piosenek na inne języki. Nie wiem,

czy ktoś wie, że m.in. na zamówienie znanego na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zespołu „NO-TO-CO” przetłumaczyła na rosyjski jeden z najśłynniejszych jego przebojów — „Po ten kwiat czerwony”, przed wyjazdem owej „grupy skiflowej” na wielkie tournée po Związku Radzieckim. A liczyła sobie wówczas pani Maria już chyba osiemdziesiąt pięć lat...

Muzykę do jednej z jej piosenek skomponował Ryszard Schreiter, kierownik muzyczny teatru, człowiek o wielkim talencie, sercu dziecka, i rozbijającym życzliwym calemu światu — uśmiechu. „Rynio” miał w życiu dwie wielkie, prawdziwe, nigdy nie wygasłe miłości: kino i teatr. Z kinem związany był od dzieciństwa. Jego ojciec, zawodowy oficer, po przejściu na wcześniejszą emeryturę został dyrektorem największego i najelegantszego przed wojną w Lublinie kina „Corso”. Tam właśnie „Rynio” zakochał się raz na zawsze w Grecie Garbo i do końca życia inne gwiazdy ekranu już dla niego nie istniały. Z teatrem związał się w bardzo młodym wieku. Zaraz po oswojeniu Lublina w 1944 r. został powołany do wojska, tam poznano się na jego muzycznych talentach. Trafił do organizującego się przy lubelskim Domu Żołnierza wojskowego teatru. W „Rzeczypospolitej” z 2 września 1944 r. spotykamy po raz pierwszy wzmiankę o „Ryniu”: „Popis w Domu Żołnierza. W Domu Żołnierza odbył się w obecności przedstawicieli wojska,

Nikt się nie potrafił oprzeć owemu szaleńczemu kankanowi „Rynia”. Szły w zapomnienie rock-and-rolle, boogie-woogie, samby i mamby, sałę ogarniał szal jak za czasów Toulouse-Lautreca. Takim go będą zawsze pamiętał: rozszamanego, za klawiaturą fortepianu, pełnego życia, które zdawało się go rozszadzać.

W połowie lat pięćdziesiątych recenzje teatralne w „Kamenu” pisywał często Konrad Eberhardt. Maria Bechcysz-Rudnicka w owym czasie raczej wstrzymywała się od działalności recenzyjnej. Po prostu nie wypadało jej, jako kierownikowi literackiemu teatru, ani chwaleń, ani ganień przedstawień, choćby na to najbardziej zasługiwały. Dopiero gdy w 1964 r. odeszła, po siedemnastu latach pracy, z tego stanowiska, wróciła do pisania recenzji. I właściwie dopiero wówczas, pomiędzy siedemdziesiątym szóstym a dziewięćdziesiątym czwartym rokiem życia (III), wyrobiła sobie pozycję krytyka teatralnego na skalę ogólnopolską. Jest to rzecz wręcz nieprawdopodobna, a jednak prawdziwa. Dopiero odejście z teatru, a następnie z funkcji redaktora naczelnego „Kamenu” pozwoliły pani Marii na chwycenie kolejnego „wstrutu w żagle” i rozpoczęcie zupełnie nowego, niezwykle aktywnego etapu życia.

Ale wróćmy do Konrada Eberhardta. Ten zmarł przedwcześnie, w 1976 r., wybitny krytyk III

## ŚRODOWISKO LUBELSKIE (4)

# ROMANS Z TEATREM

Mirosław Derecki

sfer artystycznych, prasy i zaproszonych gości, występ muzyczny. Myślą przewodnią było zorientowanie się co do możliwości młodych artystów i artystek i wybranie najzdolniejszych z nich do Teatru Żołnierskiego. [...] Specjalna wzmianka należy się pianście Ryszardowi Schreiterowi, który odegrał wiązankę pieśni żołnierskich własnego układu”.

Wkrótce potem Schreiter skomponował muzykę do wystawionej przez zespół Domu Żołnierza „Królowej Przedmieścia” Krumłowskiego, potem do spektaklu „Słońce wschodzi na Zachodzie”, następnie — do sztuki „Szkarłatne róże”... I tak się zaczęło. Przez trzy lata jeździł po miastach i miasteczkach z teatrem wojskowym, w 1947 r. — po zdemobilizowaniu — zaangażował się na rok do „Wielkiej rewii” w Warszawie. I komponował, komponował, komponował... Jako muzyk i jako kompozytor miał ogromne wyczucie sceny i estrady, zarówno repertuaru poważnego jak lekkiego. Nic dziwnego, że współpracował z licznymi polskimi teatrami: napisał muzykę do ponad stu sztuk i przedstawień.

W 1949 r. dyrektor Maksymilian Chmielarczyk zaangażował go do Teatru im. Osterwy w Lublinie; kompozytor debiutował tutaj opracowaniem ilustracji muzycznej do „Obrony Ksantypy” Ludwika Hieronima Morstyna w reżyserii Zofii Modrzewskiej. Od tej pory Schreiter stał się postacią w lubelskim teatrze i w ogóle w tutejszym środowisku artystycznym. Człowiek o ogromnym poczuciu humoru i wielkiej wyrozumiałości wobec otoczenia, był Rysio obiektem niezliczonej ilości kawałów i dowcipów, które mu robili aktorzy. Szczególnie „pastwił” się nad nim Juliusz Grabowski, który do perfekcji doprowadził „podrabianie” głosu Schreitera, owego charakterystycznego „dyskantant na przydechu”, jakim mówił kompozytor. W teatrze — w garderobach, na zapleczu sceny, na korytarzach — wciąż się słyszało niemiłkający prawie dialog: „Czchyyy jest tu może kehollegaaa Schreiiiiiteer???” — Grabowskiego i wściekły odzew „Rynia”: „Niece wygłuuupichiaj się idchiotoo...!!!”.

Jedną z namiętności Schreitera były podróże. Co prawda — niedalekie. Ukochał ruiny znajdujące się parę kilometrów od Lublina zamku w Jakubowicach Murowanych i gdy tylko miał czas oraz pieniądze, wyprawiał się tam — początkowo dorożką, a gdy zaczęło w mieście przybywać samochodów — taksówką. Był zaproszonym przez „Rynia” na przejażdżkę do Jakubowic Murowanych, to było wielkie wyróżnienie. Pewnie ze względu na ową „turystyczną” pasję Rysio kupił sobie jeden z pierwszych sprowadzonych do Lublina motorowerów „Simson”. Zrobił prawo jazdy (wystarczyła specjalna karta rowerowa) i opowiadał wszystkim o swoim „motorze” (I), jakby to był „Harley Davidson” z czterema cylindrami... Na był też płócienną czerwoną czapkę z ogromnym daszkiem i jadąc przez Krakowskie Przedmieście — w owych latach dość pustawe — kłaniał się znajomym lub salutował „po amerykańsku” na prawo i lewo. Było tak do momentu, gdy przy kolejnej serii pozdrowień i salutów wpadł na tablicę zakazu wjazdu postawioną na środku jezdni, na rogu ulicy Szopena, gdzie przeprowadzano roboty wodociągowe...

Kochał zabawy, dancinigi i bale, chociaż nigdy nie widziałem go tańczącego. Ale prawie w każdą sobotę, późnym wieczorem po przedstawieniu, wpadał na czele gromady aktorów do klubu „Nora”, zasiadał za fortepianem i z ogromną werwą, śmiejąc się, dowcipkując, pokrzykując i błyskając szklami potężnych okularów, zaczynał grać kankana.

mowy średniego pokolenia, autor licznych książek, a przede wszystkim: „Cienia buntownika”, „Podróży do granic filmu” oraz „Dnia dzisiejszego filmu francuskiego”, związany był u początków twórczej kariery z życiem literackim i teatralnym Lublina. Był stałym współpracownikiem „Kamenu” i ta współpraca trwała przez dobrych kilka lat. Tymczasem ów ważny chyba epizod w życiu Eberhardta wydaje się być jakby nieznanym... W pierwszych miesiącach 1983 r. ukazał się na rynku księgarskim obszerny, prawie 500-stronicowy tom: „Konrad Eberhardt o polskich filmach”. Jest to zbiór najciekawszych felietonów i artykułów Eberhardta na temat polskiego kina, drukowanych przez wiele lat na łamach „Filmu”, „Ekranu”, „Kina”, „Kultury” i „Literatury”. Wyboru dokonał oraz opatrzył tę książkę wstępem inny znany polski krytyk filmowy, Ryszard Konieczek. Jednak pisząc dość obszernie o studenckich latach Eberhardta na sekcji romanistyki Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i o jego błyskotliwym ówczesnym debiucie (w 1952 r. na łamach katolickiego tygodnika „Dziś i jutro”), ani słowem nie wspomina o ówczesnej pisarskiej działalności Eberhardta w środowisku lubelskim. Tymczasem Konrad Eberhardt zaczął drukować w „Kamenu” już w rok po reaktywowaniu pisma. Debiutował w 1 — 2 numerze „Kamenu” z 1953 r. reportażem. Potem były w każdym następnym numerze szkice literackie, recenzje książek, wreszcie — recenzje teatralne. Łączność z „Kamemem” utrzymywała się jeszcze także przez pewien czas po wyjeździe Eberhardta z Lublina... Warto też uzupełnić esej Konieczka o informację na temat działalności translatorskiej Konrada Eberhardta. Wspólnie z Marią Bechcysz-Rudnicką dokonał on przekładu trzech sztuk, a mianowicie: „Złoto krąży” Audibertiego, „Krzesła” Ionesco oraz „Wszyscy przeciw wszystkim” Adamova.

Nie poznałem nigdy osobiście Konrada Eberhardta. Ale pozostawałem zawsze pod urokiem jego talentu pisarskiego, oraz tych cech, jego osobowości twórczej i ludzkiej, które tak celnie ujął Ryszard Konieczek w słowach: „Elegancja pisarska Eberhardta nie była tylko kwestią osobistej kultury, lecz autentycznego szacunku krytyka dla aktu twórczego, nawet kiedy intencje lub rezultaty okazywały się dwuznaczne. Nie odstąpił też nigdy od odpowiedzialności za napisane słowo i nie splamił się koniunkturalnością ocen. Był krytykiem, który w różnych warunkach i niesprzyjających okolicznościach potrafił w sposób przykładowy chronić godność własną i godność profesji, jaką wykonywał. Była to jego osobista wersja „buntu” w obronie wartości zagrożonych zmiennością świata”.

Premiera „Huzarów” odbyła się 21 kwietnia 1956 r. W maju zaczęły się wyjazdy w teren. Nocami, gdy wracaliśmy starym rozklekotanym Chevroletem po przedstawieniach w Białej Podlaskiej, Zamościu lub Krasnymstawie do Lublina, słuchaliśmy sennie, jak członek orkiestry Rynia Schreitera, młody magister farmacji, któremu marzył się laur poety, Jerzy Księski, gra cicho na akordeonie. A drugi muzyk, student medycyny, reemigrant ze Stanów Zjednoczonych, „Ledi” Puszkarski, który jeszcze parę lat temu walczył na Korei — wtóruje mu na banjo. Pachniały bzy przydrożne. I ten zapach bzu kojarzy mi się zawsze z pierwszym romansem, jaki miałem z teatrem.

# Wstąpił w mit

Zygmunt Mikulski

**J**OZEF Czechowicz, gdyby dziś żył, miałby 80 lat. Urodził się 15 marca 1903 roku. Zginął w czasie bombardowania Lublina 9 września 1939 roku.

Nie można go sobie wyobrazić jako sędziwego, pogodzonego ze światem, „klasycznego”. Pierwsze słowa jego pierwszego tomu pt. „Kamień” to: „Liczę 22 pietra liczę 22 lata”. Ale nie tylko przez to. Jeśli się mówi o nim jako o poecie prowincji, również należy — jako o poecie młodości. Ciągłe poszukiwanie, ciągłe początkowanie, ciągłe dążenie bez poczucia spełnienia — to przecież cechy młodego wieku, a takie właśnie przejawiały się w twórczości autora „nuty człowieczej”, której wydawnicze narodziny poprzedziły fizyczną śmierć autora zaledwie o kilka miesięcy.

A także — nieustanna zdolność do zdumienia. Czechowicz patrzył na świat jak dziecko. Dwudziesto-, trzydziestoparoletnie dziecko. Przyjmujące wrażenia ze świeżością, jaką przynosi kontakt z jeszcze nie znanym, a więc spotkanym po raz pierwszy, ale już przepojone gorzką świadomością przekleństwa ludzkiego losu. Przywykło się uważać go za katastrofistę, jak zresztą bliskiego mu środowiskowo Józefa Łobodowskiego. O ile jednak dynamiczny katastrofizm Łobodowskiego był natury społecznej, wyrażał klęskę jednostki jako wynikłą z wadliwego ułożenia stosunków między ludźmi, o tyle filozoficzny — chciałoby się powiedzieć: stoicki — katastrofizm Czechowicza wynikał z przekonania o niepoprawialnej, bo spowodowanej samą egzystencją, kondycji ludzkiej. Dlatego Czechowicz się nie buntował. Uważał to za daremne. Buntować się przeciw ustanowieniom rzeczywistości, to postąpić jak Voltaire, który kiedyś zaprotestował przeciw trzęsieniu ziemi w Lizbonie. Przecież Czechowiczowi nie chodziło o efekt retoryczny.

W postawie światopoglądowej brak buntu to w arsenale środków stylistycznych brak krzyku. Szept. Ale jakże dojmujący! Czy szept konającego nie uderza w obecnych przy łożu śmierci mocniej, niż wrzawa stadionu? Stąd do właściwego odbioru Czechowicza potrzebna jest bliskość aparatu odbiorczego w stosunku do źródła głosu. Z tym, że ta bliskość nie ma nic z intymności, czy kameralności, o których możemy mówić w wypadku optymalnej akustyki np. dla Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej. Nie wyobrażamy sobie przecież, by mówić o cierpieniu, o rozdarciu, o klęsce, to ociekiwać intymności, czy powodować ją. Ten cichy głos rzucał słowa w wir szalejących potęg burzliwego świata. Świata w sztormie.

Utarło się określenie „druga awangarda”. Tzn. lubelska i wileńska, gdy pierwszą była krakowska z Peiperem, Przybosiem, Brzękowskim. Określenie to uzasadnione w latach trzydziestych, kiedy oznaczało inność w stosunku do stylistyki warszawskich „skamandrytów”, czy „kwadrygantów”, jest dość nieprecyzyjne ze stanowiska dzisiejszego. Gdzie bowiem u Czechowicza fascynacja miastem i wytworami cywilizacji technicznej, architektoniczna koncepcja wiersza i wyeliminowanie czynnika emocjonalnego na rzecz ściśle intelektualnych stanów świadomości? Gdzie uparcie przez Przybosię podkreślana „wymierność” i „sprawdzalność” słowa, które według autora „Równania serca” — ma być matematycznym równoważnikiem doznania?

W ankiecie „Okolicy Poetów”, zatytułowanej „Jak powstaje wiersz?”, Czechowicz dał odpowiedź: „Piszę w muzycznym przyćmieniu świadomości”.

mości”. Który z awangardzistów tę muzyczność i to przyćmienie zaakceptuje? Ale nie ma powodu sprzeczać się o termin. Wszelki „izm” istnieje do czasu: kiedy powstaje, kiedy zaczyna atakować świadomość kulturalną. Kiedy jednak wchodzi w stadium stabilizacji, okazuje się, że wybitne indywidualności się w nim nie mieszczą, a przeciętne dezawuuują jego osiągnięcia, więc nie są reprezentatywne. Czy np. Przybosię pozostał wierny poetyce Peipera? Czechowicz zbyt wcześnie stał się indywidualnością, by zmieścić się w schemacie jakiegokolwiek klasyfikacji. Jeśli przewodził przez pewien czas grupie poetów, grupie wyraźnie dającej się opisać kilkoma nazwiskami, było to przewodnictwo polegające na udzielaniu pomocy materialnej, umożliwianiu dojścia do druku, zachęcaniu do wytrwania przy artystycznych zamiarach. Nie miał ambicji narzucania swego sposobu widzenia poezji. Dlatego też nie założył „szkoły”, nie zostawił naśladowców. Ponadto naśladownictwo w poezji jest niemożliwe. Albo ponawia się zewnętrzne gesty, pozy, nawyki — choćby najbardziej udatnie, więc nie dotyka się sprawy poetyckiej — albo poezję rzeczywiście się wyraża, a wtedy jest się nie epigonem, lecz sobą.

Zresztą nie ma czego żalować. Prolongata czechowiczowskiej poetyki nie jest możliwa w powojennej rzeczywistości. Zabrzmi to drastycznie, jeśli zostanie odczytane w warstwie znaczeń konwencjonalnych, ale trzeba zauważyć, że samo zrządzenie poetyckiej opatrności sprawiło, by ten poeta „umarł” w porę. Oszczędzone mu zostało widzenie bezdomności jego wiersza. Gdzie bowiem dziś „księżyc idzie srebrne chusty prać”, gdzie „zasumiały chmiele winogrody ponuro ponuro”, gdzie „maleją źrenice dnia przysłonięte rzęsami choin” — te typowo czechowiczogenne zjawiska rzeczywistości? Gdzie „miasto jablonkowe”, „kasztan przy rogatce”, „popołudnia wiejskie grzejące żytem”? To miasteczko, to przedmieście, ta wieś? Każdorazowy rodzaj poezji zależy również od stanu materialnego wyposażenia społeczeństwa, a jeśli próbuje mu się przeciwstawić, staje się anachroniczny, więc nieczytelny. I dziś Czechowicza można czytać tylko przez pryzmat elementów dawnej cywilizacji, co jest całkiem zrozumiałe. Bo na przykład Zawisze Czarnego z Garbowa herbu Sulima możemy sobie wyobrazić jako szofera czołgu, ale jak w tej grotesce ocalić godność herosa kopii i miecza?

Nie znaczy to, że Czechowicz u wrażliwych odbiorców poezji ma utrudnioną drogę odbioru, jak „Dziadów” część II nie koniecznie musimy czytać w parafianej koszuli i w łapciach z brzozywej kory. Wszelako recydywa tej postawy nie jest możliwa, bo nie wyrośnie z życia. Jeśli się mówi, że wiele z Czechowicza przejął np. Różewicz, jest to albo kurtuazyjny gest pod adresem ducha „bombą trafionego w stallach”, któremu na siłę przypisuje się naśladowców, albo uprzejmość w stosunku do autora „Czerwonej rękawiczki”, albo — co najprawdopodobniejsze — brak wyczucia obu stylistyk. Gdzie u kostycznego, sprozaizowanego, prząsnego Różewicza muzyczny rezonans czechowiczowskiego wiersza? W ten sposób można podać — kiedyś taki przykład dał Makuszyński — lody do kapusty i uznać, że wyszła znakomita potrawa.

Mówi się o Czechowiczu „lubelski” i wcale mu to nie odbiera rangi polskiego, a przecież i więcej niż polskiego, poety. Ten syn woźnego banku i chłopki, wychowanek suterenu domu przy ulicy



Józef Czechowicz — zdjęcie ze zbiorów Muzeum im. Poety w Lublinie

Repr. W. Stępień

Kapucyńskiej 3 „wstąpił w mit”, jak pięknie — nie o sobie — powiedział w wierszu „Hildur Baldur i czas”. Jest nieustannie świecąca gwiazdą na lubelskim firmamencie. Sam jego los, również pośmiertny, przypisał go naszemu miastu. Jest rzadko spotykane, by przestrzennie tak blisko siebie leżały punkty wyznaczające fenomen jakiegokolwiek poety. Miejsce urodzin Czechowicza — miejsce jego sławy — pomnik i miejsce jego dorobku — muzeum znajdują się w trójkącie, którego bok nie przekracza dwustu metrów długości.

I rzecz szczególna: osobowość Czechowicza tak całkowicie wyczerpuje się w lirycie, w poezji czystej, w osobistym odbiorze czytelnicy, że mimo pomnika i mimo poetyckiego konkursu jego imienia, nie funkcjonuje w „gwarze” — użyjemy terminu Przybosię — polemik, dyskusji i zamiarów organizatorskich. Zebrane w tomie „Wyobraźnia stwarzająca” szkice i artykuły wykazują nie tylko znaczną subtelność artystyczną — zrozumiałe, ale i czujny nerw polemiczny ich autora, wszelako Czechowicz nie należał do tych, którzy uznają dla swoich osiągnięć — a sporo nazwisk dałoby się wymienić — starali się uzyskać również środkami pozapoetyckimi. Był bardzo uczulony na społeczny rezonans swojej! nie tylko swojej poezji, ale uważał, że niżej poety jest on zabiegając sposobem innym, niż twórczość.

Kazimierz Wyka powiedział o nim, że „w sztuce swojej wyraził osobowość niesłychanie polską, a bardzo współczesną”. To jedna strona wizerunku. Druga — to wychylenie poza aktualność ku sprawom i zagadnieniom, które pewien odłam krytyki nazywa „sub specie aeternitatis”. Ale i jedna i druga właściwość powoduje, że jest to poezja o zdolności trwałej, słowo szybujące ponad głowami zmiennych mód, gustów i kanonów. Słowo nieustannie pukające do drzwi człowieczej odzeczalności.

## Józef Czechowicz

### PROWINCJA NOC

(fragment)

kamienie kamienie  
ściany ciemne pochyle  
księżyc po strumieniu dachu toczy się jest nisko  
zaczekaj zaczekajmy chwilę  
jak perla  
upadnie w rynku lubelskiego miszkę  
miska zabrzęknie

w plowej nocy  
po kątach nisz głębokich  
po bram futrynach i okien  
zalamany  
bez mocy  
cień fioletowy ukłęknie

gwiazdy żółte które lipcowy żar ściągł  
lecą kurawą lecą  
firmament w złote smugi marszczą  
za trybunałem  
na ślepych szybach świecą  
cichym wystrzałem

kamena 6

noc letnia czeka cierpliwie  
czy księżyc spłynie zabrzęknie  
czy zjeździe ulicą grodzką w dół  
on się srebrliwie rozplywa  
w rosie przedświutu w aromacie ziół  
jest pięknie

### KOMPOZYCJA

o gniadym zaranku  
świerk w ptaszęcym wianku  
pod zielenią grube niedźwiedzie  
kryształka nuci na haldach  
radość tupie po ganku  
szosą ja sam nie wiem co jedzie

na to srebrnie płowo  
z malinowym błyskiem  
promieniąją płytkich wód pasma  
wypadł bożyc z byliny  
a tratuje po wszystkim  
w smugach jasny pod stołce hasa

nieznany a śliczny  
znami potowiczny  
daj nam swe obce hierarchie  
mówi kryształka

ciął ręką po strumieniu krynicznym  
mokry pył tęczą wzbil nad jej karkiem

jakiż upał  
grono chwił znofnych tu quarto  
samolotu cień pomknął po miedzy  
cóż na szosie  
tam jedzie nawet spojrzeć nie warto  
lepiej w książki po łaskę wiedzy

### PRELUDIUM

1  
o świecie wybuchły płaki z mosiężnych ról  
smukła kobieta jasność przyniosła na głowie

2  
dzwony nienasycone kolyski muzyczne  
wspominać wspominać zapominać

3  
powiewie różowy jak twarz dziecka  
płomyku podcinający niewysoką trawę  
ciemnym kwiatem makowym skinę  
nieruchomy zapach uderzy mnie i zgine

4  
jeleni stoi u źródła struga szepce awa

# Tylko dla orłów

**J**EZELI Zygmunt Mańkowski swoim listem w sprawie artykułu „Razem i osobno” („Kamena” nr 5) zamierzał spro- wokować do repliki Ryszarda Jegorowa, mnie czy kogoś innego z grona tych pisarzy, którym zdarzyło się napisać powieść lub reportaż historyczny na kanwie czyichś relacji, wspomnień, notatek — to zamiar osiągnął. Jeśli jednak zamierzał dowieść, że Józef Sobiesiak, Henryk Cybulski i szereg innych sławnych partyzantów miało swój literacki udział w powstaniu takich książek, jak powieść lub zbeletryzowany reportaż historyczny — to jedynie naraził na szkodę swoją znajomość realiów personalnych, literackich i kombatanckich tego okresu. A to bardzo poważny zarzut wobec profesjo- nala historii najnowszej.

Prowokacja (słowo modne, mocne) dotyczy w zasadzie tylko Ryszarda Jegorowa, który napisał dwie sławne (szereg wydań) książki o przygodach partyzanckich późniejszego kontradmirała Józefa Sobiesiaka, lecz dla wzmocnienia swoich argumentów Mańkowski posłużył się także nazwiskiem i przy- kładem niżej podpisanego. Ta zaczepka, po pierwsze, wzbudziła we mnie tzw. falę wspomnień z pierwszego okre- su mojej pracy literackiej, a po drugie, doprowadziła do konsultacji po- dobnych wspomnień z moim przyja- cielem Ryszardem Jegorowem. Owocem spisku było uzgodnienie, że moim pió- rem damy „odpór” znanemu history- kowi, który zadał sobie wątpliwy trud zdjęcia laurów z naszych skroni i przy- strojenia nimi i tak już uwiecznio- nych głów kombatanckich.

Ponieważ bezpośredni protoplaści sporu od dawna spoczywają w gro- bach, a czasy ostatniej wojny tylko umownie można jeszcze nazywać dzia- łem historii najnowszej — pora spoj- rzrzeć na ten problem z bliska i od kul- lis.

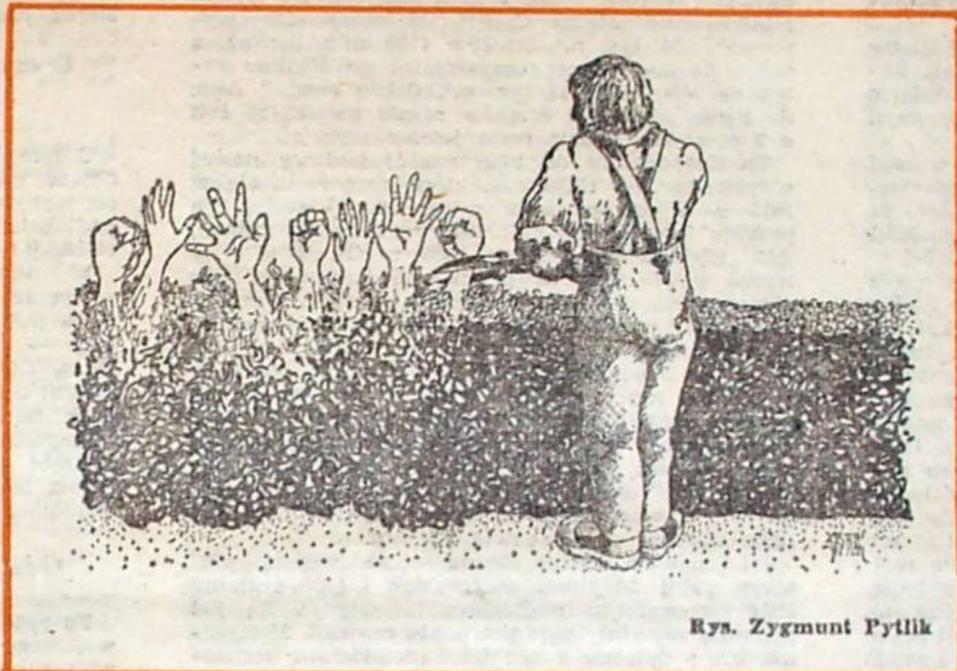
Prawda jest taka, że kto znał oso- bistość Józefa Sobiesiaka — „Maksa”, a do nich zalicza się m. in. Zygmunt Mańkowski, ten tylko w złej woli mo- że utrzymywać, że sławnego partyzanta stać było na literacki współudział w kreowaniu powieści tej rangi i tylu wydań, co „Ziemia płonie” i „Burza- ny”. To samo w tym samym stopniu dotyczy Henryka Cybulskiego, który w przeciwieństwie do Sobiesiaka, figuru- jącego w tych powieściach jako współ- autor — w „Czerwonych nocach” jest po prostu autorem, a ja, małą exci- onką, występuję jako ten, co „opracował literacko”. Jeżeli w tym miejscu po- wiem, że wszystkie słowa, oprócz nazw, nazwisk i dat, składające się na tę po- wieść czy też reportaż historyczny, wy- dany już w czterech nakładach, wy- szły spod mojego pióra, to jeszcze nie utwierdzą Zygmunta Mańkowskiego w przekonaniu, że to ja jestem autorem tej powieści, a Henryk Cybulski tylko jej bohaterem. Na okładce jest odwrot- nie, ale dlaczego tak jest?

Tu nieco inne były także rezultaty tych degradacji i nobilitacji. Henryk Cybulski, jako dowódca cywilnej samoobrony w Przebrażu na Wołyniu, która ocalała życie 25 tysięcy Polaków, głównie kobiet i dzieci, otrzymał z Lon- dynu „Virtuti Militari” V klasy, po wojnie dwukrotny wyrok śmierci, la- godzony kolejno na dożywocie aż po całkowitą rehabilitację; w latach 60- tych otrzymuje drugie „Virtuti”, tym razem „krajowe”, i staje się autorem i bohaterem bestsellera o walkach par- tyzanckich na Wołyniu — przez cały ten czas pozostaje skromnym człowie- kiem, pracownikiem fizycznym. I nigdy by mu nie przyszło na myśl kandydo- wać do ZLP z tej tylko racji, że młody

literat zbeletryzował jego przygody partyzanckie.

Z Sobiesiakiem było przeciwnie — szedł w górę, był kontradmirałem; a po ukazaniu się „Ziemia płonie” i „Burzanów”, potem „Brygady Grunwald” i „Przebraża” — (pisanych już przez anonimowych literatów, godzących się

pochodzi od uczestnika, który tam oca- lał. Jeździłem do Warszawy zebrać re- lacje milicjanta, który jako paroletni chłopak, przebity bagnetem przez bul- bowców, wyczołgał się spod ciał ro- dziców i dowiół do osiedli ludzkich. Jest w tej książce dziesiątki podobnych relacji innych uczestników gehenny ludności polskiej na Wołyniu w cza-



Rys. Zygmunt Pytlík

za żywą gotówkę całkowicie zrezygno- wać ze swojego nazwiska — składa po- danie i zostaje przyjęty do ZLP — do którego droga przez szereg lat będzie jeszcze zamknięta dla samego Ryszarda Jegorowa. Mańkowski wprawdzie wspomina o tych dziwnych sprawach, ale ich nie ocenia. Jest dla niego rze- czą naturalną, że literatem zostaje czło- wiek, którego nie stać było na napi- sanie trzech zdań fabularyzowanego tekstu, natomiast nie znajduje uzna- nia komisji kwalifikacyjnej literat, któ- ry te książki napisał. Mańkowski w to nie wnika, a szkoda. Byłby ciekawy przyczynek zarówno do osobowości sławnego i zasłużonego partyzanta, jak też do obowiązujących wówczas kry- teriów kwalifikacyjnych ZLP.

Występowanie mojego nazwiska tyl- ko w stopce wydawniczej „Czerwonych nocy” traktuje Mańkowski równie kon- sekwentnie — jako rezultat właściwych proporcji hieratycznych w genezie „Czerwonych nocy” L. skromności nędz- nego skryby, który, rozdziawwszy gę- bę w podziwie, „spisał”. Pragnę tu wy- jaśnić, że taki a nie inny kształt au- torski „Czerwonych nocy” nie był re- zultatem skromności początkującego wówczas literata, tylko jego astrono- micznej naiwności: nie zdawał sobie sprawy z tak elementarnego faktu, że „opracowanie literackie” to zupełnie nie w porównaniu ze współautorstwem, a tym bardziej autorstwem, zarówno w prestiżu mierząc, jak też w brzęczą- cej. Był jednak rok 1965 i ani Cybul- skiemu początkowo, ani mnie znacz- nie jeszcze później nie chodziło o te doczesności. Mnie pochłaniało napisa- nie powieści o nieprawdopodobnym dramatyzmie, a Cybulskiego walka o jej ukazanie się. Cybulski jeździł, wie- szal się u klamek swoich ustosunko- wanych kolegów — partyzantów, żeby pozycję wcisnąć do planu wydawni- czego, a ja wertowałem całe kilogra- my listów od uczestników walk — i w połączeniu z jego lakonicznymi infor- macjami, pacheilem powieść. Cały wiel- ki rozdział, mówiący o obłężeniu ko- ściola w Kisielinie przez bulbowców,

sie okupacji. W „Ziemia płonie” i „Bu- rzanach” są przetworzone literacko relacje wspaniałego partyzanta Chwiszc- zuka, pułkownika (dziś generała) Pio- trówskiego, gajowego Słowika, dokto- ra Kałużyńskiego i wielu innych.

Czy ten współudział innych uczest- ników walk pomniejsza rolę Sobiesi- aka lub Cybulskiego? Nie sądzę. Dowo- dzi tylko, że surowy materiał histo- ryczny nie musi pochodzić jedynie od orłów, i nie oni sami tworzą tę hi- storię, a już z całą pewnością nie da- ją jej kształtu literackiego. Tylko nie- liczna Paukszte, Wańkowića itd.

Istota sporu leży jednak nie w kon- kretnych przykładach, nazwiskach, ty- tułach i kulisach. Idzie o implikacje każdego dzieła napisanego „na podsta- wie”, z relacji, notatek, pamiętników, przekazu ustnego czy legendy idącej nawet przez pokolenia. To dylematy stare jak cała literatura i piśmiennic- two. Homer, kimkolwiek był — jest autorem „Iliady” i „Odyssey” czy tylko „spisywaczem” — jak Mańkowski na- zywa Jegorowa i jemu podobnych fa- bularyzatorów historii? Czterej ewan- geliści są autorami czy „spisywaczami”? Biblia — pierwsza powieść świata — jest dziełem spisywaczy? A bliżej: kto jest autorem „Chłopca z salskich ste- pów” — Neverly czy jego bohater? Kto autorem „Kordiana i chama” — Kruc- zkowski czy Kazimierz Deczyński?

Myślę, że są to pytania retoryczne, przejdźmy więc do ważniejszych pro- blemów, jakie przyniosła przebogata powojenna hagiografia partyzancka. Pytania te, przynajmniej dla mnie, który napisał trzy powieści — repor- taże oparte na cudzych, bardzo zresztą szczątkowych i chaotycznych relacjach, dotyczą następujących spraw:

— Którędy przebiega moralna grani- ca współudziału, współautorstwa i au- torstwa?

— Jakie są prawa pisarza wobec konkretnych faktów historycznych, a zwłaszcza wobec ludzi stanowiących dla nich tworywo literackie?

— Jak dalece pisarz daje się nagi- nąć woli (dobrej czy złej) relacjo- dawcy?

— Czy jest dostatecznie odważny i konsekwentny wobec nacisków z „zew- nątrz”, niekiedy warunkujących druk?

Pytań są dziesiątki, konfliktów „su- mienia” — tyle samo. Jeden z moich bohaterów był zwykłym tchórzem — nie jest takim w powieści, bo był wte- dy. Jedną z bohaterek — opierając się na relacji proboszcza z kościoła we Włodzimierzu Wołyńskim — nazwałem „tatarką z pochodzenia” — wywołano- nieświadomie mały dramat rodzinny, bo jej dorosłe dzieci nie wiedziały o tym. W „Czerwonych nocach” utro- cił miś jako partyzanta człowieka, któ- ry nie walczył, ale w 1968 roku most bardzo pomóc w druku powieści. Je- den z bohaterów zrobił mi awanturę, że przedstawiłem go w starych bucio- rach, podczas gdy on wtedy właśnie zafasował nowe buty! Zgaga, Ka- ca.

Powróćmy jednak do sporu. Mań- kowski stwierdza, że Sobiesiak był znakomitym rasowym gawędziarzem mającym wręcz doskonałą pamięć wsteczną [co to jest pamięć wstecz- na? — HP]. Nie mam żadnej wątpli- wości że był w stanie sam napisać pa- miętniki obszerne, barwne [...] i da- lej: Słowem, był uzdolnionym pisa- rzem gawędziarzem i nie mam w tym względzie żadnych wątpliwości.

Mój Boże! Jak wspaniałym gawęzia- rzem jest mój sąsiad z dołu, jaką dys- ponuje pamięcią mimo 89 lat! Kolega Jan Chryzostom Pasek był genialnym gawędziarzem, lecz obawiam się, że za prezesury Jerzego Putramenta został- by przyjęty do ZLP o parę lat później niż Józef Sobiesiak!

Do licha, cóż jest w końcu literatu- ra, a co gawęda, pamiętnikiem? Zna- my wspaniałego bajorza z epoki Mao Tse-tunga — który to bajorz cudem uniknął przyjęcia do ZLP — czyż wszy- stko, co mówił, było tylko literaturą i na odwrót — czy w tym, co mówił, nie było literatury? Zaniepokojenie bu- dzi myśl, że młodzi historycy, upieche- ni w katedrze historii najnowszej UMCS mogą kiedyś potraktować do- kumentalnie bezwzględnie wszystko, co stanowi treść „Ziemia płonie”, „Burza- nów” czy „Czerwonych nocy”. Czy któ- ryś nie zacznie poszukiwać pijanego popa z „Czerwonych nocy”, Nesterow- icza, aby np. dowieść, że alkoholizm szalał wtedy wśród kleru prawosław- nego na Wołyniu?

Sobiesiak — pisze Mańkowski — gdy dostrzegł, że pomoc „spisywacza” jest mu w gruncie rzeczy niepotrzebna, za- częł pisać sam. [...] Podobną przygodę przeżył inny lubelski literat Henryk Pająk. Zapoznawszy się z cudownym narratorem Henrykiem Cybulskim, spi- sał jego wspomnienia [gawędy?] i wy- dał drukiem zaznaczając swój wkład. Oddajmy Sobiesiakowi to, co mu się należy — to on był jedynym autorem książki, a rola Jegorowa sprowadziła się do spisania jego wyznań i nadania im określonego kształtu.

Otóż po pierwsze, skoro Jegorow był potrzebny tylko do spisania wyznań, logicznie oznacza to, że Sobiesiak był albo niepiśmienny, albo niewidomy lub bezręki — co jest historyczną nie- prawdą.

Po drugie — skoro „spisywacz” jest tylko anonimowym skrybą bez własnej osobowości, to dlaczego Sobiesiak — o czym Mańkowski niestety nie wie — zrezygnował z usług literatki Marii W., która zdążyła spisać już wiele stron jego „wyznań”. Dlaczego tamto wyrzu- cił, a zasiadł z Jegorowem?

Po trzecie — wystarczy wziąć do ręki pierwszy lepszy słownik terminów literackich i przeczytać, co to jest ga- węda, pamiętnik, powieść, reportaż hi- storyczny, co to jest fikcja literacka, obraz literacki, wątek, fabuła — skła- dające się na mozaikę gatunków i ro- dzajów literackich.

Po czwarte: wzięcie z butami do- bąd, co bądź, intymnego związku dwóch ludzi, z których jeden daje swój talent literacki i morderczą pracę kil- ku lat, a drugi fakty ze swojego ży- cia — i rozstrzygnięcie, kto tu kogo za- płodnił, zaiste przypomina zagładanie przez dziurkę od klucza do cudzej sy- pialni i śledzenie figur małżeńskich!

Tym frywolnym akcentem pragnę skwitować zacząć prawdę, że każdy, bezwzględnie każdy człowiek jest cho- dzącą, choć nienapisaną powieścią, a rzecz tylko w tym, bagatelą, żeby na tej drodze natknął się na „spisywacza” zdarzeń, objęte jakich — zdarzeń ludz- kiego mikroba, czy zdarzeń zarezerwo- wanych tylko dla orłów.

# W czym utonie miasto?

Dokończenie ze str. 1

Pod uprawami rolniczymi, głównie ogrodniczymi, a ziemia ta należy do 2445 gospodarstw rolnych. Przyrost naturalny zamknął się w ubiegłym roku liczbą 3,3 tysiąca. Do miasta przybyło 5,5 tysiąca nowych mieszkańców, a wyjechało zeń 2,2 tysiąca. W zdecydowanej większości nowymi bywatelami Lublina zostawali mieszkańcy wsi (200 osób). Mamy 143 tysiące ludzi zatrudnionych w gospodarce, z czego: 41,5 tys. w przemyśle, prawie tyle samo w sferze pozaprodukcyjnej, 19,1 tys. w budownictwie, 15,7 tys. w transporcie i łączności, 8 tysięcy w usługach.

Aby cały ten organizm w miarę sprawnie funkcjonował, niezbędne jest zapewnienie wydolności gospodarki komunalnej.

— Tragedii bezpośrednio odczuwalnej dla mieszkańców miasta — mówi wiceprezydent Edward Leńczuk — jeszcze nie ma. To znaczy, że jeszcze nie narzekano na brak wody w kranie, ciepła w kaloryferze, czy na zapchaną kanalizację, albo nie wywieszono śmieci. Tylko ów lublinianin nie wie o paru faktach, z których powodu my śpiemy gorzej.

Po takim entree mogło paść już tylko kilka pytań na temat: o czym mieszkańiec nie wie? A więc po kolei...

## O czym nie wie lublinianin biorąc prysznic?

Nie wie biedak, że zużywa codziennie 106 litrów (l) wody, co jest ilością trudno wyobrażalną. Zapewne niełatwo byłoby mu przyjąć, że całe miasto „wypija” dziennie 102 tysiące m<sup>3</sup> wody, czyli 102 mln litrów.

Długość komunalnej sieci wodociągowej wynosi w Lublinie 327 km i korzysta z niej 290 000 mieszkańców. Niestety nie wszyscy. Pozostali zdani są na publiczne hydranty L. studnie, co u progu XXI wieku nie wydaje się pocieszające.

Spżycie wody w ostatnich latach wzrasta wręcz dramatycznie, działające w mieście ujęcia (w liczbie sześciu) przestają wystarczać i trzeba uciekać się do studni awaryjnych, które w normalnej sytuacji mogą być używane tylko w przypadku katastrof, klęsk żywiołowych, wojny itp. Gdyby brać pod uwagę wydolność ujęć, deficyt wody wynosiłby 25-27 tys. m<sup>3</sup> (25-27 mln litrów) dziennie. Przy uwzględnieniu zasilania ze studni awaryjnych sięga „tylko” 8 mln litrów. Tu gwoli sprawiedliwości trzeba zauważyć, że wzrost zużycia wody jest dziełem przede wszystkim przemysłu. „Wypija” on 52 mln litrów z owych 102, a jego pragnienie rośnie nadal w tempie przynajmniej 7% rocznie i nie nie wskazuje na to, aby zmalało. Największymi odbiorcami wody są w Lublinie budownictwo i przemysł mleczarski (FSC korzysta z własnego ujęcia).

Co robić w takiej sytuacji? Jest oczywiste, że utrzymanie się obecnego stanu rzeczy doprowadziłoby do racjonowania wody w sposób szczególnie drastyczny, dla mieszkańców uciążliwy. Dlatego władze miasta „stają na głowie”, żeby coś się w końcu zaczęło dziać na budowie ujęcia wody w Wilczopolu. Koszt inwestycji zamyka się niebagatelną kwotą prawie 800 mln złotych, a termin realizacji sięga 1987 roku. Czy jest to data realna, trudno powiedzieć. Wydaje się to raczej mało prawdopodobne, zważywszy, że planowany na br. przerób wynosi tylko 40 mln zł. Wilczopole dawałoby dziennie ok. 30 mln litrów wody, co przy siedmioprocentowym tempie wzrostu zapotrzebowania wystarczyłoby tylko do utrzymania sytuacji dzisiejszej. Co prawda w planach są jeszcze ujęcia w Turce, Piaskach i Strzeszkowicach, ale jest to melodia przyszłości. Wyjściem byłoby uruchomienie ujęcia powierzchniowego, które uzdatniałoby wodę z Wieprza, ale działania w tym kierunku są zablokowane ze względu na niejasną sytuację rozwojową Lubelskiego Zagłębia Węglowego i towarzyszącej mu infrastruktury.

Oprócz działań inwestycyjnych Urząd Miejski wyposażył MPWiK w szerokie uprawnienia kontrolne

i egzekucyjne, które będzie ono mogło stosować wobec pobierających wodę „na dziko”, marnotrawiących ją, czy zużywających w nadmiarze. Oczywiście należy życzyć MPWiK szczęścia i pomyślności w korzystaniu z tych uprawnień, niemniej wydaje się, że pragnienie „smoków” radykalnie powstrzymać może co innego: wzrost ceny za wodę dla odbiorców przemysłowych. Dotąd płacili oni 23 (l) grosze za metr sześcienny, obecnie — 6,50 zł. Przewiduje się, że podwyżki te będą przez jakiś czas dotowane z budżetu terenowego. Mieszkańcy na razie nie odczują tych akurat podwyżek, ale przygotowywane są nowe stawki czynszowe, uwzględniające zwiększone opłaty za wodę.

I jest to w zasadzie wszystko, o czym nie wie lublinianin wchodząc pod prysznic. A zdaniem władz miasta — powinien.

## O czym nie wie lublinianin spuszczać wodę?

Jeżeli wykonuje ową intymną czynność w rejonie Nowego Świata, ulicy Przemysłowej, czy Rusalki, nie powinien mieć pewności, że fekalia zostaną „przeknięte” przez komunalną kanalizację, i że nie wypłyną na ulicę. Podobnie mieszkańcy Nadbystrzyckiej nieco ryzykują, ufając kanalizacji, bo może się zdarzyć, że ścieki z Czubów wypłyną właśnie u nich. Itd.

Sieć kanalizacyjna liczy w Lublinie 275 km i służy 265 tysiącom ludzi. Jak widać, nie wszystkim mieszkańcom miasta. Codziennie kanalizacja „wypłuu” 130 tys. m<sup>3</sup> ścieków (130 mln litrów), z czego do wysłużonej oczyszczalni na Kalinie zaledwie 36%, czyli 47 tys. m<sup>3</sup>. Gdzie reszta? Ano, do Bystrzycy. Ilość ścieków rośnie zresztą co rok o 8 procent i będzie rosła jeszcze szybciej.

Tu dochodzimy do historycznej budowy nowej oczyszczalni na Hajdowie, która rozpoczęła się w 1975 r. i już powinna pracować. Niestety, nie pracuje (kolejny termin: 1984 r.) i będzie dobrze, jak „wyjdzie” na koniec 1986 r. Gwoli prawdy trzeba powiedzieć, że inwestycja hajdowska jest gigantem na skalę europejską (!) i że planując budowę, nie „przymierzono” się do niej realistycznie. Stąd późniejsze kłopoty, poślizgi, korekty planów itd. Wg. dzisiejszych cen oczyszczalnia kosztuje 3 mld 831 mln złotych, a przerób nie sięga nawet trzeciej części wartości ogólnej (1 mld 25 mln). W planie br. jest 650 mln i na tyle starczy pieniędzy. Rzecz jednak w tym, że wykonawca deklaruje możliwości przerobowe na poziomie 1 milijarda, a warunkiem dotrzymania terminu jest „przeknięcie” na Hajdowie 1,2 mld.

Jako pewien sukces można uznać „wepchnięcie” oczyszczalni do planu centralnego i tzw. systemu GRI (generalnego realizatora inwestycji). Są już pierwsze rezultaty tego patronatu centrali. 25 stycznia br. podpisano z zachodniemieckim koncernem „Schumacher GmbH” kontrakt na dostawę, kosztem 1,1 mln dolarów, filtrów dla oczyszczalni. Można przypuszczać, że Niemcy wywiążą się z terminu dostaw. Byleby tylko było je gdzie instalować, kiedy nadejdą! Czyja się starania, żeby nakłady na oczyszczalnię zwiększyć do poziomu mocy przerobowych (Temat ten podsumiuję wicepremierowi Januszowi Obodowskiemu podczas niedawnej wizyty w Lublinie). Żeby już zakończyć sprawę oczyszczalni hajdowskiej, informacja techniczna: będzie ona zdolna zaabsorbować 165 tys. m<sup>3</sup> ścieków na dobę. W sam raz tyle, ile Lublin wydał w 1986 roku.

Oczyszczalnia to nie wszystko. Przed Czubami, zamieszkałymi już przez 14 tysięcy osób, stoi konkretne zagrożenie: niepodłączenia do sieci gotowych budynków. Po prostu przepustowość sieci jest zbyt mała i potrzebny — kolektor. Jego budowę trzeba zakończyć najpóźniej w połowie 1985 roku. Koszt — 357 milionów, a planowany przerób tegoroczny... 32. W takim tempie budowa zakończy się w... 1990 roku. A póki co, przyszły rok może być ostatnim rokiem budowania w tej części miasta. Według planu, kolektor ma być przekazany w 1986 roku, co podajemy jako ciekawostkę historyczną.

Władze miejskie nie są same w stanie uporać się z tą inwestycją, bo zwyczajnie i po prostu nie mają funduszy. Liczą na pomoc wojewódzkich. Czy się przeliczą?

## O czym nie wie lublinianin mając zimne kaloryfery?

Tu akurat pytanie jest nieco przewrotne, bo zimnych kaloryferów od czasu sławetnej zimy 1978/79 nie było. Również w obecnym sezonie grzewczym. I tu pomogła miastu pogoda. Deficyt ciepła, wynoszący 40 Gcal/godz., był dla mieszkańców nieodczuwalny. Gdyby jednak zdarzyły się mrozy dwudziestostopniowe, z owych 40 gigakalorii zrobiłoby się 90 i mieszkania można by ogrzać do zaledwie 12°C (norma: 18°C). Tak pokazują liczby.

Co robić, żeby za rok wspomniana sytuacja nie powtórzyła się? Trzeba kończyć budowę kotła WP-120 w elektrociepłowni wrotkowskiej, kosztem 2 miliardów. Takiej kwoty ani miasto, ani województwo nie mogą wypłacić. Zwrócono się więc do zakładów pracy z „prośbą” nie do odrucenia: chcieć korzystać z ciepła, partycypując w budowie. Odbyły się rozmowy, umowy są przygotowywane.

Poza tym sytuacja cieplna miasta wygląda następująco. W sezonie grzewczym dysponujemy poborem ciepła wielkości 500 Gcal, która rozchodzi się po mieście siecią 104 km. Większość biorą zakłady przemysłowe i z tym wiąże się nadzieje miasta na skłanianie ich do udziału w rozbudowie sieci i potencjału cieplnego. Formą nacisku mogą być ograniczenia dostaw. A jak nie ma ciepła, produkcja spada itd.

## O czym nie wie lublinianin wyrzucając śmieci?

O tym, że wysypisko w Jawidzu będzie funkcjonować tylko do końca 1984 roku. Potem będzie się wywozić „na dziko”, do okolicznych lasów i na podlubijskie odłogi. Perspektywa utonięcia w śmieciach, jak widać, też jest realna i nie tak daleka.

W planach miasta uwzględniono rozbudowę wysypiska i stworzenie tzw. Jawidza II. Dokumentacja jest gotowa, wykonawca by się znalazł. Brakuje — jak zwykle — pieniędzy. Ile ich trzeba? Dużo, 230 milionów złotych. Stanowisko władz wojewódzkich jest negatywne, środków własnych brak. Bardziej dla uspokojenia sumienia, niż gwoli rzeczywistych efektów, miasto wygosparowało 18 mln zł z funduszu ochrony środowiska i ta kwota będzie w br. przerobiona. A co dalej? Nie wiadomo.

## Gdzie koniec komunalnego labiryntu?

To pytanie zaadresowane do Czytelników nie ma większego sensu, bowiem mają oni i tak sporo własnych zmartwień. Na co im jeszcze kłopoty miasta? Od tego jest prezydent, Urząd Miejski, MRN. Niech oni rządzą, skoro są od tego.

Bronisław Popławski zgadza się z takim tokiem myślenia i uważa go nawet za prawidłowy, bo najlepsza jest władza niezauważalna, sama rozprawiająca się z trudnościami, sytuacjami i labiryntami bez wyjścia.

— W dzisiejszych czasach nie ma mądrych. Wnosiłiśmy o półtora miliarda budżetu miejskiego, obcięto nam do... 650 milionów i trzeba będzie tym żonglować. Przeciwną tę krótką koldrę z nóg na plecy, a z pleców na brzuch. Rady nie ma. Proszę mam tylko o wyrozumiałość, kiedy w nocy zabraknie wody w kranach, śmieci będą czekały na wywiezienie dłużej, niż by mieszkańcy chcieli, a kaloryfery grały chłodniej. Z pustego i Salomon...

A my swoją drogą pragniemy uczulić władze Lubelszczyzny na ślepe korytarze lubelskiego labiryntu komunalnego. Może coś w nie kapnie z wojewódzkiej kiesy... Rozmowa nie jest wszak o jakichś luksusach, a sprawach zupełnie podstawowych.

Waldemar Piasecki

# Epitafium dla rolnika

Anna Bocian

**K**IEDY ostatni rolnik zużyje ostatnie gramiki i ostatnia krowa zje paszę z chemicznymi dodatkami, których nikt nie podejrzewał o obecność grzybów toksynotwórczych, ale które trafiają do żołądka mieszczucha, i tak już koszmarnego mutantu — będzie to znak, że trzeba zająć się ochroną środowiska naturalnego rolnika oraz krowy. Nieprodukcyną sfera społeczno-gospodarcza, jaką jest ochrona zdrowia rolnika oraz rozumienie okoliczności towarzyszących rozwojowi produkcji rolnej — nie są ważne, dopóki nie jest za późno. Tak uczy życie i przysłowie, że mądry Polak po szkodzi.

Czy dzisiaj jest, czy nie jest późno — i tak nie zdecydują rozpaczliwy ton niniejszego utworu, ani samopoczucie osobników już dziś uważających się za produkt uboczny cywilizacji, a ściślej — jej ekonomiczno-ekologicznego rozkojarzenia. Niemniej jednak raport o stanie zdrowia ludności wiejskiej, przygotowany przez Instytut Medycyny Pracy i Higieny Wsi im. Witolda Chodźki w Lu-

blinie mówi, dlaczego będzie źle z nami i rolnictwem.

Otóż najlepsza maszyna do produkcji żywności — polski chłop — jest zużyta i przestarzała. Trudno było to przewidzieć, zważywszy, że — po pierwsze — panowało i panuje przekonanie o niezniszczalności chłopstwa, a po drugie — dopóki nie było kryzysu, nikt nie przyglądał się zdrowiu rolnika doładnie. Tymczasem jest taka ekonomiczna prawda, że lepiej kupić nową maszynę niż remontować gruchota, ale jeżeli maszyną jest człowiek, to trzeba z nim przeciwieć inaczej: od małego starannie i na wszelki wypadek.

Ponieważ, jak to w życiu bywa, żyć trzeba mimo smutnych wiadomości, przypatrzmy się im uważnie. Wiesz potrzebuje obecnie wodociągów, jak kiedyś elektryfikacji. Woda potrzebna jest nie tylko do zmywania brudu, który zgorszony letnik dostrzeże na obrąbku talerza. Na wsi nie ma przede wszystkim dobrej wody, gdyż pobiera się

ją z płytkich warstw powierzchniowych. W skali kraju tylko 11 procent studni ma dobrą wodę. Jeżeli zaś powstają na wsiach inwestycje, to przecież bez oczyszczalni, a trzeba pamiętać, że na 3,8 tys. zakładów przemysłowych w kraju, aż 60 procent nie ma własnych oczyszczalni. Łatwo stąd wysnuć wniosek, że środowisko naturalne wsi ma szansę zamienić się w magazyn zanieczyszczeń chemicznych (na skutek splukiwania maszyn po środkach ochrony roślin, używania odpadów przemysłu górniczo-hutniczego, chemicznego i energetycznego zawierających wapno i magnez, składniki dobre do odkwaszania gleb, ale szkodliwe dla ludzi, niezbilansowanego nawożenia) oraz zanieczyszczeń biologicznych (ścieki, fekalia, a także gnojowica, której nalogowo nie utylizują fermy przemysłowe).

Skażenie gleby i wody rzutuje na higienę żywności i żywienia. Chociaż na co dzień niewidoczne, oczywiste jest, że na przykład zwiększenie jednostronnego nawożenia związkami azotowo-potasowo-fosforowymi stwarza możliwość zaburzeń w procesach metabolicznych zachodzących w glebie, roślinach, zwierzętach, a więc i w ludziach. Polskie rolnictwo używa ponad dwieście preparatów, zawierających ponad siedemdziesiąt związków chemicznych biologicznie czynnych, a więc nieobjętych dla człowieka — Amen. Dla samego rolnika to zaledwie początek listy przebojów, bo gdzie skutki ciężkiej pracy zwiastują dla kobiet, chorób

# Gorzko o oświacie

Dokończenie ze str. 1

skoro władze oświatowe stale zmierzają do unowocześniania polskiej szkoły. Doprawdy, z kredą i tablicą niewiele dziś zrobić można, szczególnie w zakresie przedmiotów politechnicznych, nauki języków czy też przedmiotów zawodowych.

Nie zamierzam bynajmniej podważyć naczelną rolę nauczyciela. To on — a nie środki dydaktyczne — ma u uczniów kształtować dyspozycje kierunkowe. Prawda. Ale o ileż łatwiej dobremu nauczycielowi przychodzi kształtować dyspozycje, i kierunkowe i instrumentalne, gdy instrumenty jego składają się nie tylko z kredy, tablicy i — ewentualnie — podręcznika.

Powyzszy stereotyp trzeba wykreślić z codziennego myślenia, bowiem:

— utrudnia kształtowanie u uczniów (szczególnie słabszych, a takich jest wielu) myślenia wyobraźniowo-pojęciowego, sprzyjającego twórczemu zaangażowaniu wychowanków w procesie lekcyjnym;

— zawęża możliwości rozwoju postępu pedagogicznego;

— odsuwa ciągle na dalszy, bliżej nie określony, plan kompleksowe rozwiązanie problemów oświatowych.

Stereotyp, o którym wyżej, w swym podtekście wyraża brutalne przekonanie, że można pozostać przy dobrej nauczyciela jedynie z kredą w dłoni, tablicą i programem nauczania, lecz bez innych akcesoriów niezbędnych do normalnej pracy, a on da sobie radę. To prawda, lecz nie będzie kształcił i wychowywał tak, jak się od niego wymaga, tak, jak sam by pragnął.

## O niekonsekwencji w pojmowaniu społecznej roli nauczyciela

Gdy podczas XXIII Zjazdu Delegatów ZNP w roku 1955 ówczesny I sekretarz KC PZPR Bolesław Bierut powiedział, że „nie należy postanawiać o nauczycielstwie bez udziału nauczycielstwa”, wydawało się, iż słowa te staną się mottem do wszelkich działań na rzecz oświaty. Tamta deklaracja — co dziś wiadomo — była jedynie krótkotrwałym środkiem uśmierającym sytuację konfliktogenną. Potwierdził to niejako wicepremier Mieczysław F. Rakowski podczas XXXII Zjazdu Delegatów ZNP w roku 1981, stwierdzając, iż „nauczyciele w ostatnich 35 latach traktowani byli niejednokrotnie jako ta grupa zawodowa, która może się obyć bez zaspokojenia ich najbardziej elementarnych potrzeb”.

Karta Nauczyciela — to, jak na razie, kolejny zastrzyk na uśmierzanie sytuacji konfliktogennej, szczególnie gdy się zestawia tę ustawę z mozołnie wydawanymi doń aktami wykonawczymi. Zastryk — który już wywołuje uczulenia i stany podgorączkowe. Uposażenia nauczycieli bowiem, wyrażające stosunek władzy do społecznej roli pracowników oświatowo-wychowawczych, stosunek niejako namacalny, są nadal zbyt niskie w stosunku do postępującej inflacji pieniądza. Sytuacji materialnej nauczycieli nie zmienia diametralnie — jak sądzę, a chciałbym się po stokroć mylić — planowane na 1 września br. podwyżki plac. Powinny one zrównać średnie wynagrodzenie nauczycieli ze średnim wynagrodzeniem „pracowników inżynierijno-technicznych zatrudnionych w przemyśle społecznym” (art. 31.2 Karty Nauczyciela). Tymczasem nieoficjalnie mówi się o wyłączeniu ze średniej krajowej uposażenia pracowników inżynierijno-technicznych zatrudnionych w najwyższej opłacanych działach gospodarki (przemysł wydobywczy i ciężki) oraz cofnięciu części dodatków już przyznanych nauczycielom.

Natomiast — co trzeba wyraźnie wreszcie powiedzieć — Karta Nauczyciela oraz wytyczne rządowe i resortowe wymagają od pedagogów, by pełnili funkcję propagandową. Zgódźmy się bez dyskusji, że skoro nauczyciel zobowiązany jest propagować język ojczysty, osiągnięcia nauki,

zamiłowanie do pracy, a wreszcie podstawowe wartości ustrojowe — to już wyraźnie odchodzimy od tradycyjnie pojmowanej formuły zawodu, i wchodzimy w zakres działań, które można nazwać posłannictwem, propagandą, misją ustrojową.

Wszystkie usytuowane prawnie działy propagandy są waloryzowane godziwie. Pora, aby do tych działań zaliczono także zawód nauczycielski. Bo przecież żadna władza nie zwolni pracowników oświatowych z funkcji kreacyjno-propagandowej.

## O woźnej i sekretarce

Nie chodzi bynajmniej o te tylko funkcje szkolne, lecz o całą administrację zatrudnioną w placówkach oświatowo-wychowawczych.

Dostateczna i właściwa obsada stanowisk administracyjno-usługowych decyduje, że cały system organizacji szkolnej funkcjonuje znacznie sprawniej, niż wówczas, gdy szkoła odczuwa choćby niewielkie niedostatki kadrowe wśród tej grupy pracowników. A odczuwać je zaczyna coraz wyraźniej.

Resort oświaty i wychowania przyobiecwał swego czasu, iż wraz z wejściem w życie Karty Nauczyciela znacznie funkcjonować także status prawny pracowników szkoły nie będących nauczycielami. Ostatnio zaczyna się mówić o podwyżce plac dla tej grupy zawodowej — lecz statusu prawnego, regulującego nie tylko wysokość uposażeń, nadal brak.

W tej sytuacji proponuję, by sprawę wspomnianego statusu przejęła Sejmowa Komisja Oświaty i Wychowania. Opracowany przez nią odpowiedni dokument (zbiór dokumentów) — po konsultacji z zainteresowanymi resortami oraz wybranymi jednostkami organizacyjnymi ZNP — powinien stanąć na forum parlamentu. Zatwierdzony status należałoby, moim zdaniem, dołączyć w formie aneksu do Karty Nauczyciela. Powstałby tedy zbiór przepisów kompleksowo regulujących pozycję zawodową wszystkich pracowników zatrudnionych w placówkach oświatowo-wychowawczych.

## O „kolaboracji”

Od szeregu miesięcy wśród nielegalnej opozycji nauczycielskiej funkcjonuje pojęcie „kolaboracji” i jego pochodne — na oznaczenie pracowników oświaty „współpracujących z reżimem” oraz działających zgodnie z jego oczekiwaniami.

Ciekawe, że jeszcze na początku ubiegłego wieku, gdyśmy — w intencji cara Aleksandra I — śpiewali hymn „Boże, coś Polskę”, a mąż stanu i polityk Adam J. Czartoryski wraz z wielkim księciem Aleksandrem snuł mgliste marzenia o przebudowie Imperium Rosyjskiego — terminu „kolaboracja” nie używano. Nie stosowano również tego określenia nawet w stosunku do tych działaczy powstania 1863, którzy, po aresztowaniu, zdradzili wrogom całą sieć konspiracyjną, denuncjując się wzajemnie.

Bo też przypomnieć warto — za „Słownikiem języka polskiego” pod red. J. Karłowicza, A. Kryńskiego i W. Niedźwiedzkiego (t. II, Warszawa 1902) — iż termin „kolaboracja”, pochodzący od łacińskiego bezokolicznika „collaboro” (wspólnie cierpieć, męczyć się, współpracować, usilnie starać się o coś), oznaczał pierwotnie u nas tyle, co „pracować wspólnie z kimś, pomagać”. Określenia „kolaborator” używano zaś w odniesieniu do „współpracowników” oraz „podrzędnych nauczycieli”. Dopiero okoliczności II wojny światowej sprawiły, że wspomnianym terminom nadano znaczenie pejoratywne. Według „Słownika języka polskiego” pod red. W. Doroszewskiego (t. III, Warszawa 1964) — „kolaboracja” oznaczała współpracę polityczną i gospodarczą z okupantem hitlerowskim.

Powrót do źródeł rozstrząsanej tu terminologii ważny jest po to, by nauczyciele uświadomili sobie, iż każdy z nich — bez względu na prywatny

stosunek do władzy i ustroju — współpracuje z tą władzą i do pomocy tej władzy się zobowiązuje. Tu — dla ilustracji — określony cytat z Karty Nauczyciela: „Nauczyciel obowiązany jest rzetelnie realizować podstawowe funkcje szkoły: dydaktyczną, wychowawczą i opiekuńczą, dążyć do pełni rozwoju osobowości ucznia i własnej. Nauczyciel powinien kształcić i wychowywać młodzież w umiłowaniu Ojczyzny, poszanowaniu Konstytucji Polskiej, Rzeczypospolitej Ludowej jako państwa socjalistycznego; w duchu humanizmu, tolerancji, wolności sumienia, sprawiedliwości społecznej i szacunku dla pracy; dbać o kształtowanie u uczniów postaw moralnych i obywatelskich zgodnie z ideą demokracji, pokoju i przyjaźni między narodami”. Również ślubowanie, do którego nowo mianowani nauczyciele są zobowiązani, sformułowane jest w tym duchu. Każde zatem inne działanie — niezgodne z wyłożonymi wyżej powinnościami — może być przez władzę uznane za dywersyjną ideologiczną lub polityczną.

Nikt zatem z pedagogów, także tych, którzy reprezentują tzw. demokratyczną opozycję, nie może tłumaczyć się nieświadomością swych zobowiązań wobec władzy. Zobowiązania ustają dopiero wówczas, gdy nauczyciel rezygnuje z pracy. Niekonsekwentne więc okazuje się pokrzykiwanie z pozadębitowych piernik na tzw. kolaborantów, skoro wszyscy nauczyciele są takich w pierwotnym sensie uchodzą.

Dezintegracja środowisk nauczycielskich — bez roztrząsania, kto jest animatorem tego zjawiska — w ostatecznej konsekwencji nie tylko rozbiła spójność systemu wychowawczego w placówkach oświatowo-wychowawczych, lecz także skłania władze oświatowe i administracyjne do podejmowania na rzecz stanu nauczycielskiego decyzji niepopularnych lub wręcz negatywnych.

Nauczycielstwo nie powinno zbyt łatwo ulegać poróżnianym je emocjom. Wręcz odwrotnie: rozsądnym programem, wydaje się, że jedynym na „tu i teraz”, musi być wspólne tworzenie w miarę spójnego, oficjalnego frontu na rzecz odbudowy autorytetu nauczyciela, w celu obrony jego interesów zawodowych. Front ów — to związek zawodowy z pełną strukturą organizacyjną (ogniwa terenowe, centrala). Takim lobby może stać się niedługo Związek Nauczycielstwa Polskiego.

## Refleksja końcowa

Nie uda się właściwie realizować wszystkich funkcji przypisanych nowoczesnej szkole bez:

— odbudowy autorytetu nauczyciela; — wdrożenia takiego systemu naboru nowych kadr, który zapewniłby dopływ ludzi z powołania, posiadających szeroką wiedzę ogólną i zawodową;

— uruchomienia środków finansowych na rozszerzenie bazy szkolnej i właściwe jej wyposażenie;

— faktycznego umożliwienia nauczycielom awansu naukowego oraz pomocy merytorycznej i finansowej w tym zakresie;

— stworzenia w całym systemie propagandy spójnego — społecznie zaakceptowanego — modelu wychowawczego (także z uwzględnieniem uniwersalnych wzorców kultury chrześcijańskiej).

Nie uda się w pełni wyegzekwować od nauczycieli pełnienia funkcji kreacyjnej (posłanniczej) bez zrozumienia ich aktualnych i przyszłościowych potrzeb. Natomiast nauczycielom nie uda się obrona własnego statusu zawodowego bez jednoczącej ich organizacji związkowej.

Nie uda się tak naprawdę w oświacie nic, jeśli na różnych szczeblach władzy nie zostanie przywołany piękny aforyzm Bertolta Brechta mówiący, iż „należy odzwyczaić się od myślenia o problemach, których myśleniem nie można rozwiązać”.

Permanenna sytuacja konfliktogenna oraz przypisanie nauczycielom misji ustrojowej powodują wszystkie (lub prawie wszystkie) oświatowe konsekwencje. Idzie obecnie o to, by owe konsekwencje były ponoszone w równie odpowiedzialnym stopniu przez stan nauczycielski i przez władzę.

Marian Janusz Kawalko

z powodu kiepskich warunków atmosferycznych, zatrucie substancjami chemicznymi i dolegliwości powstałych z zarażenia od zwierząt?

Jak wynika z raportu o zdrowiu rolnika, i to jeszcze nie wszystko, gdyż coraz częściej zdarzają się na wsi miejskie dotąd choroby krajeńskie, zawały, nadciśnienie, nowotwory. Wiesz dogania miasto, a nawet przegania ją dwukrotnie w nadumieralności młodych mężczyzn w wieku 20—29 lat. Bo i rzeczywiście, jak donoszą gazety codzienne, jeżeli zdarza się wypadek, to przeważnie ginie na drodze nocą pijany mieszkaniec wsi.

Choć jeszcze na wsi żyje się dłużej (a w ogóle z roku na rok żyjemy w kraju krócej), tempo starzenia się jest szybsze niż w mieście. Dzieje się tak od drugiej połowy lat pięćdziesiątych i niewykluczone, że jest to wynik zbyt gwałtownych zmian urbanizacyjno-industrialnych, a może i innych zjawisk w makrostrukturze społecznej. Poza tym trzeba pamiętać o wielokrotnie przypominanym starzeniu się polskiej wsi. W praktyce oznacza to oparcie produkcji na ludziach w wieku poprodukcyjnym i ucieczkę z najbardziej rolniczych województw młodych kobiet, które mogłyby urodzić trochę nowych rolników. Biorąc pod uwagę niski jeszcze poziom wykształcenia wsi — można tylko spytać: czego właściwie oczekujemy od rolnictwa? Żeby odrodziło się jak Fenix z popiołów?

Niekorzystne zmiany warunków i stylu życia na wsi odbijają się większą niż w mieście umieralnością noworodków. Nałożenie nowoczesnej chemii na stare zaniechania higieniczne oraz złych wzorców żywienia miejskiego na niedobre tradycje kulinarne wsi — to jakby ramy, w których dorastają dzieci z nieleczoną próchnicą zębów, zaburzeniami rozwoju psychospołecznego oraz stanu układu nerwowego. Krótko mówiąc, wszystko to zapowiada ich trudniejszy start w dorosłe życie i gwarantuje stresy.

Tak by należało zakończyć rolą apokalipsę, gdyby chodziło o szerzenie nastrojów defetystycznych. Jak twierdził prof. Maciej Latański, dyrektor Instytutu Medycyny Pracy i Higieny Wsi, raport zrobiono na zamówienie resortu zdrowia i przedstawiano go już opiniotwórczym gremiom, gdyż tylko 20—25 procent czynników, mających wpływ na kondycję ludności, zależy od służby zdrowia.

Zapewne nie należy spodziewać się rewelacji inwestycyjnych w ochronie środowiska na wsi, chociaż brak wodociągów powinien być punktem wyjścia wszystkich dyskusji. Jednak przynajmniej parę prostszych posunąć mogłoby usprawnić wiejską służbę zdrowia. Chodzi o to, żeby pojechali na wiesi lekarze i mieli mieszkaniową i finansową motywację do pozostania tam. Również muszą mieć pewność, że nikt nie będzie im utrud-

niał podnoszenia kwalifikacji, co na co dzień praktykują zarządcy ZOZ-y. Oczywiście resort zdrowia nie da finansowych preferencji lekarzom, ani nie wynajdzie dla nich w gminach mieszkań. Są to problemy z tzw. resortowego pogranicza, które najtrudniej załatwić, dopóki nie ma alarmu. Bo pogranicze, jak samo słowo wskazuje, traktuje się z dystansem właściwym wobec spraw odciętych, obojętnych. A pora skończyć z stereotypami przysyłającymi prawdziwy obraz wsi, takimi jak „chłop śpi, a zboże mu rośnie” albo „wiesz na pieniądze”. Wille i samochody naturalnie bardziej widać niż zwyrodnienie kręgosłupa i rozedmęte płuc. Ale choroby są prawdziwą ceną dostatku, którego zazdrości się z miasta, gdzie mało kto wie, że w latach 70—80 liczba chorób zawodowych na wsi wzrosła dwukrotnie, choć statystyką objęto tylko rolnictwo społeczne. Nietrudno się domyślić, że w rolnictwie indywidualnym szkodzi ludziom to samo, a nawet bardziej. Na przykład na rolniczej Lubelszczyźnie trzy razy częściej zdarzają się zatrucia pestycydami u prywatnych gospodarzy niż w brygadach społecznych. Więc mimo kryzysu wypada zająć się ubezpieczeniem rolników i produkcją rolnej — albo składać na zaprzężony pogrzeb.

## Mechaniczni astronauty?

Witold Wawrzonek

Z DOTYCHCZASOWEJ wiedzy o Kosmosie zdaje się wynikać, że ludzie musieliby mieć neliże szczęście, by przede wszystkim na drodze swych „niebiańskich”, głębokich penetracji napotkać podobne sobie formy inteligentnego życia. Bardziej chyba prawdopodobne wydaje się, że podczas premiery możemy natrafić na Istoty Rozumne egzystujące w środowisku znacznie różniącym się od naszego, a niemożliwym do tolerowania przez organizm człowieka. Mogą to nawet być jakieś niebiańskie formy życia, o wyglądzie znacznie gorszym od czegoś najbrzydszego, co tylko istnieje na Ziemi — czy też o tak urzekającym pięknie, jakiego nikt z ludzi nie jest sobie w stanie wyobrazić. Istoty takie muszą również posługiwać się znacznie odmienną od naszej logiką; mogą nawet myśleć kategoriami, jakich w ogóle nie ma w żadnym podręczniku ludzkiej psychologii.

W każdym razie z faktu, że to my je, ewentualnie, odkryliśmy, a nie na odwrót, wcale jeszcze koniecznym wynikiem nie musi, iż natrafiliśmy na głupsze od nas Istoty Rozumne. One mogą być bardzo mądre i po prostu w ogóle nie pragną jakiegokolwiek bliskich spotkań z obcą inteligencją, nie podejmują w tym kierunku żadnych bezpośrednich starań, czy działań.

Gdy pewnej popularnej damie, „która z taką swobodą i finezją porusza się po krętych i wyboistych ścieżkach różnych dziedzin wiedzy”, pokazano sporządzone na podstawie precyzyjnych relacji bezpośrednich świadków portrety pamięciowe przedstawiające wygląd zewnętrzny inteligentnych załóg Niezidentyfikowanych Obiektów Latających — pani ta dała wyraz swym wątpliwościom, zapytując: „Czy możliwym jest, by odwiedzali nas przedstawiciele aż tak wielu pozaziemskich cywilizacji?”. Z powtarzających się bowiem nieustannie informacji — napływających z różnych miejsc globu, a pozyskiwanych ze sprawdzonych relacji i doniesień naocznych świadków — wynika, iż różniących się od siebie tym czy innym znamionym szczegółem załóg UFO jest ponad trzydzieści typów! Gdyby przyjąć, iż wszystkie owe typy określają „powstałe w sposób naturalny na nieznanych planetach Istoty Rozumne formuły X”, wówczas faktycznie można dojść do wniosku, że nasza skromna planetka jest zapewne z jakiegoś powodu obiektem szczególnego zainteresowania wielu cywilizacji technicznych, egzystujących na dodatku w stosunkowo niedalekiej odległości od Układu Słonecznego.

Między innymi tak właśnie „wyjaśnienie” sprawy powoduje, że problematyka UFO budzi nieufność u większości naukowców. Tymczasem, mimo wszystko, nie notuje się drastycznego spadku ilości informacji o UFO, choć rzekomi (albo i nie) Kosmicci ciągle nie biorą żadnego bezpośredniego udziału w rozstrzygnięciu ludzkich sporów, dotyczących ich istnienia.

Pragnienie zbudowania sztucznego człowieka, który byłby zdolny zastępować swojego twórcę w wykonywaniu wszelkich nudnych i uciążliwych czy rutynowych prac, było czymś znanym już w średniowieczu, a nawet w starożytności. W czasach najnowszych — nim jeszcze narodziła się cybernetyka — budowano już czelakopodobne aparaty, starające się mniej lub bardziej precyzyjnie powtarzać niektóre proste czynności, zajmujące dotąd wyłącznie mięśnie ludzi.

Aktualnie natomiast istnieją już roboty zdolne naśladować nawet dość skomplikowane i precyzyjne czynności człowieka, a nawet znacznie nas przewyższające w zakresie szybkiego czy dokładnego wykonywania niektórych operacji. Zdarza się też niekiedy, że roboty pozbawione z natury rzeczy tego, co byśmy określili jako uczucia wyższe, zachowują się czasem tak, jakby posiadały jakieś szcążkowe życie emocjonalne swych twórców. Swego czasu zadziwiające reakcje demonstrował np.

zbudowany w laboratoriach General Motors amerykański robot „Robby”. Zazwyczaj posuszny i zrównoważony, stawał się nerwowy, albo w ogóle zamierał, kiedy tylko w jego pobliżu pojawiała się zawsze ta sama, najpiękniejsza laborantka. Przez dłuższy czas usiłowano bezskutecznie zidentyfikować przyczynę „zakochania się” robota, by wreszcie ustalić, że reagował on w taki właśnie sposób na barwę kredki do warg, używanej przez ową dziewczynę.

Nie słyszy się przecież, jak na razie, by jakikolwiek — najmańdrzejszy czy najprzystojniejszy nawet robot — zmontował był kiedyś człowieka lub choćby podobny sobie aparat. Zdarza się natomiast często, że te pozytywne urządzenia coraz powszechniej zastępują ludzi tam, gdzie grozi nam niebezpieczeństwo bezpośrednie i pośrednie. „Mada na roboty” nie wydaje się więc być stadium przejściowym naszych wyczynów technologicznych, lecz procesem koniecznym, pozwalającym nam w efekcie, przy pomocy sztucznych aparatów, wnikać i ingerować wszędzie tam, gdzie z różnych powodów nie bądziemy mogli dotrzeć „osobiście”, gdzie warunki środowiska eliminują całkowicie bądź częściowo możliwość naszej bezpośredniej ingerencji.

Jakkolwiek w wyglądzie zewnętrznym załóg UFO istnieje wiele istotnych różnic, to jednak owe ekscentrycznie wyglądające środki transportu, którymi „wyższe wymiennione” tutaj przybywają, posiadają bardzo wiele cech wspólnych, sugerujących, że pojazdy owe mogły powstać w rezultacie bardzo pokrewnych sobie myśli technologicznych i technik wykonawczych. Oto na przykład: nikt nigdy nie widział, by UFO jeździły, czy też w jakikolwiek inny sposób poruszały się po powierzchni twardego gruntu. Żaden z obserwatorów nie spozstrzegł też w pojazdach choćby sugestii urządzeń jezdnych — najprostszycy nawet kół.

Mają one za to — wszystkie — nieaerodynamiczne kształty, co według niektórych specjalistów lotnictwa stanowi najlepszy dowód ich nieistnienia, jako że obiekty latające w atmosferze, a sporządzone przez „prawdziwe” Istoty Rozumne, powinny mieć jedynie i tylko aerodynamiczne sylwety.

Osobiście wydaje mi się jednak, że kształty obiektu latającego w powietrzu powinny być jak najbardziej aerodynamiczne, ale tylko wówczas, jeżeli jego konstruktor przewidywał był jedynie mechaniczne niwelowanie oporu powietrza przez latający obiekt. Jeśli jednak zastosowałby on każdy inny sposób minimalizacji tegoż oporu, to wówczas kształty takiego obiektu, projektowanego do lotów w atmosferze, wcale nie muszą być aerodynamiczne. Mogą być dowolne...

Zdumiewających podobieństw można dopatrzeć się też w sposobie działania różnych typów „latających talerzy”. Obiekty te pojawiają się zawsze nieoczekiwanie i w najmniej spodziewanych miejscach. Lądują na ogół tam, gdzie średnia demograficzna nie przekracza 50 osób na kilometr kwadratowy. W innych przypadkach, kiedy np. chodzi o dobrze strzeżone obiekty strategiczne, do których UFO zbliżają się niekiedy bardzo blisko, występuje na ogół działanie typu: „dokok-akcja-odkok”. Za to zresztą „nie elerpla” sprawy UFO wojskowi, którym pojazdy nigdy nie dają okazji do potraktowania się jako cele, stając się jedynie powodem długotrwałego i bolesnego rozpatrywania ich szybkich, precyzyjnych i starannie przemyślanych wypadków.

Z braku konkretnych dowodów, poniższa identyfikacja — podobnie jak i wcześniej podane interpretacje — musi z konieczności opierać się na dowodach poszlakowych, „dowodach pośrednich”.

Jeśli zważyć, że niektóre z inteligentnych załóg Nieznanych Aparatów Latających składają się z twórców do złudzenia przypominających ludzi, powstaje pytanie, czy czasem tu, na Ziemi, jakiś kraj lub też większa zorganizowana grupa ludzi nie produkuje w tajemnicy i nie wyrzuca w przestrzeń tego rodzaju unikalnych aparatów lotniczych? Taka ewentualność możemy jednak całkowicie wykluczyć. Nie jest możliwe bowiem — we wspólnym świecie — utrzymywanie w bezwzględnej tajemnicy, przez tak długi okres czasu, faktu produkcji tak unikalnych i ekscentrycznych aparatów lotniczych, a tym samym utrzymywanie obrzydliwej przewagi technologicznej w dziedzinie „lotnictwa”. Wykluczone jest więc, by tego rodzaju statki latające mogły być wytwarzane przez ludzi cywilizację.

Trudno również byłoby tłumaczyć osobliwość znacznej liczby obserwowanych faktów — pojawiających się twórców z UFO, bliźniaczo podobnych do ludzi — domniemaniem istnieniem, i to gdzieś w stosunkowo niedalekiej odległości

od Układu Słonecznego, jakiejś planety, gdzie warunki tam istniejące dokładnie by się powtarzały w czasie równoległym na Ziemi, wraz z wszelkimi konsekwencjami tego „faktu”: np. z istnieniem bliźniaczej wódec ziemskiej — a tylko bardziej rozwiniętej technologicznie — cywilizacji technicznej „bratoich” Istot Rozumnych. Bardziej natomiast prawdopodobną wydaje mi się być ta ewentualność, że goście to ucharakteryzowane przez inteligentnych psychozoologów formuły X, na obraz i podobieństwo człowieka, sztucznie sporządzone i przystosowane do funkcjonowania w tutejszych warunkach — „roboty”!

Tak wyglądający z zewnątrz „człowiek”, o ile tylko będzie poruszał się i zachowywał względnie typowo, może praktycznie rzecz biorąc znaleźć się wszędzie tam, gdzie przebywa przeciętny obywatel naszego świata. W ten sposób można o nas zbierać wszelkie informacje — bez konieczności „inwazyjnego” ingerowania w ludzką społeczność i wywoływania tym samym nieuchronnych zmian w „badanym obiekcie”.

Inny znów typ „astronautów” z UFO, stosunkowo często robiących sobie u nas wycieczki z wystadką, to twory niezwykle podobne do siebie. Nie odróżniają się one wzrost i budowę oraz identyczne twarze. Patrząc na ich portrety pamięciowe, szkieletowane na podstawie relacji ludzi, którym zdarzało się widzieć z bliska owe twory, trudno doprawdy pozbyć się wrażenia, iż wyprodukowane to gdzieś seryjnie.

Znamionym i wielce wymownym wydaje się być również to, o czym nigdy nie wspominają świadkowie mający bezpośrednio do czynienia z poznanyimi typami inteligentnych załóg UFO. Otóż zachowaniu się tych załóg nie można w żaden sposób przypisać działania pod wpływem jakiegokolwiek emocji. Nikt z wiarygodnych świadków bezpośredniego spotkania z nimi nie mówi nic i nigdy, by w dowolnej sytuacji jakiś „ufoid” np. się „zdenewował”, „ucieszył” czy powiedział „zeżłościł”. Twory te — przynajmniej w kontaktach z ludźmi, a od nich przecież mamy wszystkie stosowne informacje — choć zachowują się zawsze uprzejmie i taktownie, to jednak zawsze w sposób konsekwentny i uporczywy wydają się dążyć do osiągnięcia wcześniej zaplanowanych celów: niczym pragmatyczne bioroboty z zakodowanym w ich „mózgu” programem działania, przewidzianym na określone i z góry założone okoliczności i sytuacje.

Wiele z wykonanych przez człowieka robotów zdolnych jest nadzwyczaj sugestywnie naśladować niektóre nasze, dość nawet skomplikowane, czynności, jak na przykład: palenie papierosów czy nawet taniec. Pewien robot-przewodnik był tak autentycznie ludzki, że kiedy zęgnął się z publicznością, ta powszechnie, jak człowiekowi, odpowiadała na jego gest pożełgalny!

Trudno oczywiście „autorytatywnie” twierdzić, że wszystkie inteligentne załogi UFO, z jakimi dotychczas mieliśmy do czynienia, to sztucznie sporządzone i przystosowane do różnorodnych działań w ziemskich warunkach twory „pokrewnie” naszym niedoskonałym robotom. Zbyt mało mamy dotąd pewnych danych, by z całym przekonaniem dowodzić, że tak jest w istocie — a nie może być inaczej. W każdym razie niemata liczba przesłanek skłania do przypuszczeń, że tak właśnie być może, że przynajmniej niektóre typy owych załóg to ucharakteryzowane na obraz i podobieństwo człowieka aparaty kroczące, sterowane bezpośrednio, zdalnie, bądź też programowo, a przy tym „uczone” na unikanie z ludźmi kontaktu, co w głównej mierze uniemożliwia nam ich precyzyjne zidentyfikowanie.

Fakt, że kwestia UFO znajduje się przeważnie w rękach nieuleczalnie chorych jej entuzjastów, których cytują niekiedy mało krytyczni autorzy książek i artykułów o UFO, nie jest tylko winą rozpaczliwej niewydajności ufologów, lecz wynika w poważnym stopniu także z odsunięcia tej problematyki poza nawias zainteresowań oficjalnej nauki, „dzięki czemu” społeczeństwo traktuje te zagadnienia jako „problem wiary”, a nie wiedzy.

W przepięknej mnogości publikacji o UFO ukazują się ponadto dość powszechne stwierdzenia, że obiekty te z całą pewnością pochodzą z Kosmosu, zaś ich załogi to „Istoty z Kosmosu”...

Gwoli formalności i prawdy obiektywnej pragnę jednak zauważyć, że pochodzenie tych statków latających jest wciąż i nadal nieznanne, a poza tym nikt na razie nie dowiódł, że używają ich — jako środków transportu — „z krwi i kości” istoty.

Chciałbym też zwrócić uwagę, iż nikt z ludzi, jak dotąd, nie twierdził, że zaobserwował UFO startujący z jakiegokolwiek miejsca położonego w Kosmosie. Widywano natomiast niejednokrotnie, jak obiekty takowe wodowały — zanurzając się pod wodę w różnych akwenach Wszechoceanu, a także wówczas, kiedy startowały z wody w powietrze...

KSIAŻKI • KSIAŻKI • KSIAŻKI • KSIAŻKI • KSIAŻKI • KSIAŻKI • KSIAŻKI • KSIAŻKI • KSIAŻKI •

## Społeczeństwo nad państwem

KSIAŻKA liczy prawie 182 strony tekstu, a więc można ją przeczytać w trzy wieczory, do czego zachęcam. Proponuję ponadto, by nie wypychać jej potem na górną półkę domowej biblioteki, lecz trzymać pod ręką i zaglądać do niej od czasu do czasu, na przykład przed udaniem się na jakieś zebranie poświęcone sprawom społecznym lub politycznym. Książka nie jest co prawda instrukcją postępowania w takich sytuacjach ale zawierając wiele konkretnych spostrzeżeń i ogólniejszych sądów, dostarcza twardych argumentów w ewentualnej polemice z kimś, kto chciałby nas znów przekonać, że państwo jest Absolutem, a społeczeństwo służy takiego transcendentnego organizmu.

Ten objętościowo niewielki tom nosi poważny tytuł: „U podstaw świadomości państwowej” i obejmuje cztery rozdziały: „Historyczna i socjologiczna genealogia świadomości państwowej”, „Świadomość państwowa a struktura społeczna i polityczna”, „Tradycja, ewolucja i charakter świadomości państwowej w Polsce Ludowej”, „Warunki i metody kształtowania świadomości państwowej”. Taka terminologia, zapowiadająca solenny wykład teoretyczno-historyczny, może, niestety, zniechęcić do lektury książki tzw. przeciętnej czytelnika, człowieka zmęczzonego robotą i stanem w kolejkach, więc od razu wypada powiedzieć, że publikacja nie pretenduje, jak zauważył sam autor, do doskonałości teoretycznej, zakładającej eo ipso posługiwanie się ezoterycznym aparatem pojęciowym i tak rozbudowanymi czy skomplikowanymi okresami zdaniowymi, jak to dziś w modzie naukowej.

Mamy tu raczej do czynienia z esastyką — szczególnego jednak rodzaju, bo daleką od perspektywy subiektywnej, tyle efektownej, ile nieustannie operującej znakiem zapytania, charakterystycznej dla tego gatunku pisarstwa. Powiedzmy po prostu, dając już pokój takim niepewnym klasyfikacjom formalnym, że logika wypowiedzi i materiał dowodowy książki składają się do tego, by dać wiarę wywodom autora, profesora Andrzeja Burdy.

Na wstępie Burda definiuje pojęcie świadomości państwowej, która będąc wyodrębnioną sferą świadomości społecznej, oznacza m. in. stosunek społeczeństwa lub jego grup podstawowych „do aktualnej organizacji państwowej, do form i metod funkcjonowania mechanizmu państwowego”. Problem ten omawia zresztą autor obszerniej, uwzględniając szeroki kontekst historyczny, psychologiczny i cywilizacyjny.

Imponująca jest perspektywa historyczna, w jakiej Burda rozpatruje tytułową kwestię, poczynając od starożytności (greckiej, rzymskiej i orientalnej), a kończąc na okresie Polski

Ludowej. Mamy tu zatem myśli i cytaty z Homera, Arystotelesa, Platona, Marka Aureliusza, a dalej — z pism Rousseau, Hegla, Marksa, Engelsa i Lenina, aż po autorów polskich: istniejących już tylko poprzez swoje książki i żyjących.

Kluczem do zrozumienia stanowiska Burdy wobec współczesności optymalnych warunków kształtowania się autentycznej świadomości państwowej zdają się być słowa Marksa z „Krytyki programu gotajskiego”: „Wolność polega na tym, żeby państwo z organu stojącego ponad społeczeństwem przekształcić w organ całkowicie podporządkowany temu społeczeństwu (...). Oto bowiem w dalszych partiach książki Burda stwierdza: „Zdaje się też — w ogólnym rachunku historycznym — nie budzić zastrzeżeń twierdzenie, że im szersze warstwy społeczne uzyskują realny wpływ na sprawy polityczne swego kraju oraz mają możliwość podejmowania podstawowych decyzji dotyczących ich interesów, jak też losów i przyszłości narodu, tym mocniejsza i trwalsza jest podstawa ugruntowania ich przywiązania do własnej państwowości”.

# KATE BUSH I JEJ UPIORY

**N**DOROCZNYM „podsumowaniu” najpopularniejszych wokalistek świata anno domini 1982, wielu entuzjastów piosenki pod różnymi szerokościami geograficznymi za pierwszą uznało 24-letnią Brytyjkę KATE BUSH. Sympatię słuchaczy zjednała jej najnowszy (czwarty z kolei) album „The Dreaming”. Patronująca Bush firma płytowa EMI znów zarobiła na jej powodzeniu niemalą fortunę.

Kim jest tajemnicza dziewczyna, intrygująca melomanów niespotykaną skalą i barwą głosu, niezwykłą muzyką i pełnymi mistycyzmu tekstami? Wokalistka, kompozytorka, poetka, pianistka czy producentka płyt? Chyba wszystkim po trochu, bez stosowania taryfy ulgowej dla któregośkolwiek wcielenia. Zachodnia prasa muzyczna utrzymuje, iż Kate Bush jest jedną z najoryginalniejszych artystek brytyjskich ostatnich lat i zapewne prasa ma w tym przypadku rację, w szalenie atrakcyjnych pieśniach Kate znaleźć można wszystko: orientálną melodykę, przedziwne układy harmoniczne i odległe od rockowego schematu rozwiązania dźwiękowe. Bush nie da się zamknąć w żadnej z szufladek stylistycznych. Śpiewa przenikliwym głosem o sprawach, które mało dotąd zajmowały twórców i odwórców rocka. Stwierdzenie wokalistki, że zajmują ją rzeczy niezwykle, dziwne, wręcz niesamowite, wyjaśnia wiele. Porwała zrozumieć, skąd biorą się w jej utworach niespokojne duchy, strzygli, upiory, topielce, wschodnie dżiny, szkockie gnomy, ekscenryczne kobiety i tragiczni samobójcy. Kraina wyobraźni Bush zdaje się być niezmierną. Trudno do prawdy uwierzyć, że talent artystki jest samorodny. Tymczasem Kate, mimo iż gra wybornie na fortepianie i gitarze, sama komponuje i aranżuje — nie posiada zupełnie wykształcenia muzycznego. Do wielu rzeczy doszła sama.

Po raz pierwszy usłyszał o niej świat wiosną 1978 roku, kiedy to firma EMI zdecydowała się na edycję interesującego dźwiękowo albumu „The Kick Inside”. Część nagrań przygotowana została dużo wcześniej, bo jeszcze w czerwcu 1973 roku. Nieznana muzyka skłoniła szefów firmy do przedłużenia okresu wyczekiwania na typową muzykę skłoniła szefów firmy do przedłużenia okresu wyczekiwania na oficjalny debiut 19-letniej autorki i wykonawczyni. Okazał się on nadzwyczaj udany. Dziewięć namiętności, emanująca z pierwszego wielkiego szlagiera „Wuthering Heights”, zjednała wokalistce tysiące zwolenników. Tematyka utworu, jak też styl, styka warstwy muzycznej nawiązywały do słynnego dramatu namiętności i zemsty, plóra dziewiętnastowiecznej pisarki i poetki angielskiej Emily Jane Brontë, która napisała „Wichrowe wzgórza” w wieku 28 lat, głównymi bohaterami powieści czyniąc parę tragicznych kochanków: Kathy i Hesteliffa. Bush sięgnęła po to dzieło nieprzypadkowo Zafascynowana od dawna urokiem ksiądzki, dramatyczną złożonością jej bohaterów oraz trudno spotykanym napięciem wewnętrznym, postanowiła wyrazić swe odczucia właśnie w pieśni. Pod wpływem literatury powstała więc jedyna w swej odmianie kompozycja, a słuchacze długo zachwycali się jej urodą. Świetna, swym rodzajem kompozycja, a słuchacze długo zachwycali się jej urodą. Świetna, oparta na orientalnej skali melodyki, w połączeniu z zadziwiającym głosem wokalistki, niepokojąca i intrygująca zarazem. Debiutancka płyta przyniosła też inne zaskakujące utwory. „Feel It”, zdumiewała erotyczną zmysłowością, a tytułowy „The Kick Inside” opowiadał wprost o tragedii cieślarni dziewczyny, popełniającej samobójstwo pod wpływem namiętnej, niestety kazirodnej miłości.

Niesłychane powodzenie pierwszego albumu i obecność na listach przebojów w wielu krajach zdyskontowała artystka wydaniem „Lionheart”. Już wtedy krytycy ochrzczili ją mianem mistrzyni „kreatywnego rocka”.

Kate Bush urodziła się 25 lipca 1958 roku w Londynie, w rodzinie lekarskiej o tradycjach muzycznych. Atmosfera panująca w domu sprzyjała rozwojowi talentu dziewczynki. Już w wieku 11 lat Kate pisała pierwsze kompozycje fortepianowe. Rodzice wymarli dla niej karierę pianistki, ona zaś chciała zostać aktorką, później śpiewającą tancerką. Pobierała stosowne lekcje w szkole baletowej i występowała w zespołach mimów, prowadzonym przez Lindsaya Kempa. W jednym z londyńskich klubów muzycznych usłyszał ją kiedyś David Gilmour — gitarzysta grupy Pink Floyd. Zafascynowany niesamowicie wysoką skalą głosu 17-latkę, zaprosił ją do londyńskiego „Air Studio” na próbną nagranie. Kate potwierdziła tam swe zdolności i po okresie „kwarantanny”, spowodowanej polityką programową firmy, EMI zdecydowała się na wydanie albumu. Zrealizowano go starannie, latem 1977 roku, w towarzystwie wybranych muzyków: gitarzysty Iana Barnsona, perkusisty Stuarta Elliotta, pianistów Duncana Mackaya i Anderewa Powella i basisty Davida Patona. Odiąd tworzyć mieli wspólnie „KATE BUSH BAND”.

O powodzeniu dwóch pierwszych dysków już była mowa. Trzeci, zatytułowany „Never For Ever”, a wydany w początkach września 1980 roku, zawierał kilka szlagierów: „Babooshka”, „Egypt”, „The Wedding List”, „Violin” i „Army Dreamers”. I znów Kate intrygowała niepowtarzalnym nastojem, niosącym nutę melancholii i egzotyki. Trzeci album przygotowała artystka już w pełni samodzielnie, nasycając kompozycje rozległą gamą pomysłów dźwiękowych. Zdecydowały one, że świeżego brzmieniowo krążka „Never For Ever” nie sposób było porównywać z innymi wydawnictwami płytowymi, jakże licznymi na brytyjskim rynku w 1980 roku. Bush była jedyną i niepowtarzalną.

Najnowsza jej płyta, wspomniana „The Dreaming”, potwierdza raz jeszcze wcześniejsze opinie. Każda zawarta na niej pieśń to fascynująca historia z oryginalną fabułą, atrakcyjną instrumentacją, tajemniczym urokiem i oryginalnym przesłaniem. Warto jeszcze dodać, że muzyka 24-letniej gwiazdy nie należy do najłatwiejszych w odbiorze, wymaga od słuchacza skupienia, dużej wrażliwości i wtedy dopiero odkrywa swoje bosactwo i kolorystykę dźwięków i atrakcyjność melodii, a więc atuty decydujące o pozycji Kate Bush w świecie show biznesu. Nie sadzę, by prędko wyrosła jej konkurentka z równą fantazją, energią, talentem i... wrodą.

Istvan Grabowski

## ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ●

Podnosząc za Leninem potrzebę nieustannego dialogu między władzą a społeczeństwem, wskazując na przyczyny zwyrodnienia aparatu państwowego, omawiając wpływ tradycji i charakteru narodowego (polskie umiłowanie wolności) na stopień akceptacji ustroju politycznego przez społeczeństwo, Burda porusza ponadto sprawę niezmiernie nas interesującą i żywą. „Świadomość państwową w społeczności demokratycznej — zauważa — charakteryzuje i to, że patriotą nie jest się z urodzenia, profesji czy zajmowanej pozycji społecznej lub państwowej. O treści jej i moralnych wartościach rozstrzyga przemożnie etap realizowania sprawiedliwości społecznej oraz skuteczność stosowanego systemu wychowawczego. [...] patetyczne apele o umacnianie świadomości państwowej

i o właściwe postawy obywatelskie stają się przysłowiowym rzucaniem grochu o ścianę, jeśli ubiera się je w formuły biurokratyczne i jeśli nie są one poparte żywymi przykładami ośrodków wiodących prym w życiu politycznym kraju”.

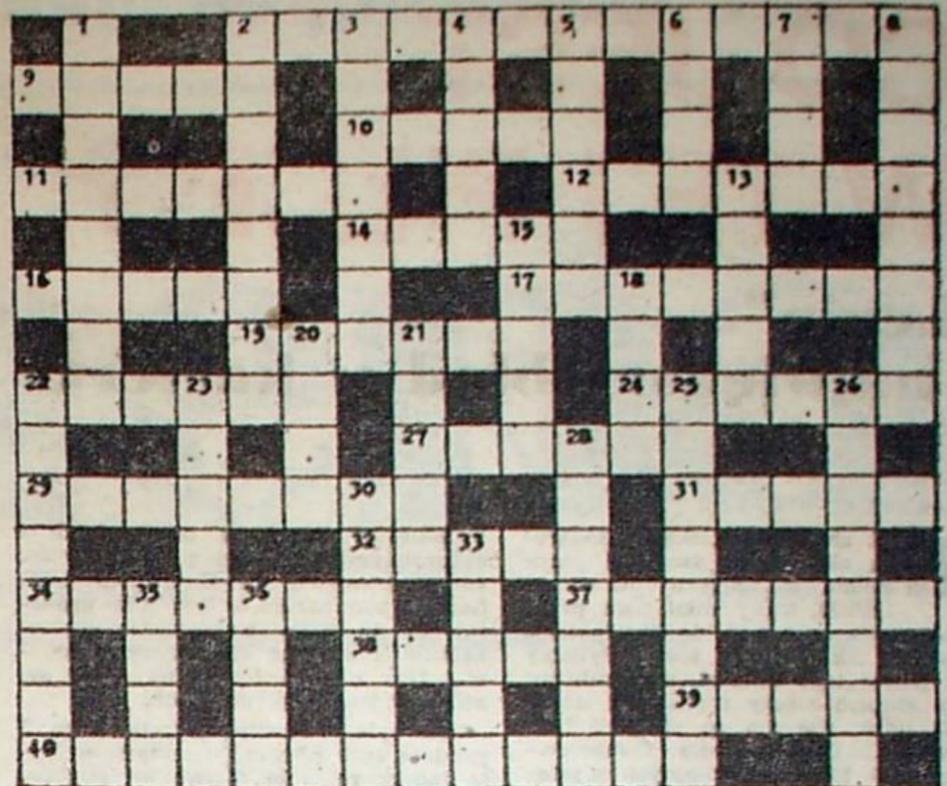
Otóż to! Książka została napisana w 1977 roku na zamówienie jednego z wydawnictw warszawskich, lecz w tamtych czasach nie mogła ukazać się w druku z tzw. przyczyn obiektywnych. Była po prostu niewygodna, może nawet niebezpieczna dla ówczesnej władzy. Ostatecznie opublikowało ją Wydawnictwo Lubelskie — w niezmiernie, decyzją autora postaci, w roku 1982.

L. J. Kamiński

Andrzej Burda: U podstaw świadomości państwowej, Wydawnictwo Lubelskie 1982 r.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

# KRZYŻÓWKA NR 9



**Poziomo:** 1. polski pisarz i publicysta, główny ideolog polskiego pozytywizmu, 2. jest prawie w każdej operetce, 19. plynie po polskiej krajinie, 11. skraje, brzegi brzegów, 12. pisarz lubelski, prezes oddziału ZLP w latach 50-tych, 14. upiór, 15. miasto w Westfalii, 17. polski filozof i estetyk, twórca teorii dzieła literackiego, 18. Włochy, 22. sztuczna fryzura, 24. współplemieńcy Winetou, 27. prawie litr, 29. do tenisa stołowego, 31. zdrowy korzeń, 32. ogłoszenie, 34. kraja, 37. jednostka urbanistyczna w mieście, 38. stara wieża obronna, 39. austriacki pisarz, który wywarł znaczny wpływ na nowoczesną literaturę, 40. polski pisarz — modernista.

**Pionowo:** 1. francuski pisarz, autor powieści „Ogień”, 2. szczyt w Sudetach, z którego wypływają rzeki do Bałtyku, 3. północnego i Czarnego, 2. zagarnięcie cudzych ziem, 4. opera Pucciniego, 5. stepowy pasterz, 6. na nich koła, 7. miejsce śmierci Joanny d'Arc, 8. też 24 poziomo, 13. gasienica, 15. przyjmowanie za prawdę twierdzeń niesprawdzalnych, 18. bezużyteczne starocie, 19. decyduje o rytmie, 21. rzymski pisarz, autor opisu wojny Cezara z Pompejuszem, 22. oko zanurzonej łodzi podwodnej, 23. droga w mieście,

25. współczesny pisarz polski, autor cyklu „Nowa baśń”, 26. pisarka polska powieści i komedii obyczajowych, 28. obok zdjęć w dowodzie, 29. stan w USA, 31. miasto wojewódzkie, 33. świeży czy solony zawsze najsmaczniejszy, 34. twarde drzewo. Rozwiązania należy nadsyłać w ciągu 15 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 131 20-933 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy wartości 100 zł.

**ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 1 z 11.10**

**Poziomo:** Korsyka, Poledum Sma-glewska, Oman, arka, Abel, ekt. Uska, akr, Orkan, Krzywoszewski, Erato, rad Tomsk, Andy, Eraw, gnom, osie, Naru-szewicz, Zanussi, zdrowie.

**Pionowo:** Kolo, rosa, Angola, pre-ser, Lear, moda, Znak, Kair, maskarona Krasieński, baryton, korweta, kuza, ta-ma, Ryński, deresz, owoc, glaz, Onon szew, Erie.

Nagrodę wylosowała: Kazimiera Kusz, 22-598 Zamodź, ul. Barylańska 34 m. 14

Duża 28 lutego 1983 roku zmarła

## mgr Halina Lipska

emerytowana nauczycielka, były wiczytator szkolnictwa artystycznego Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie, były długoletni dyrektor Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem XXX-lecia PRL, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Odznaką „Zasłużony Działacz Kultury”, Odznaką „Zasłużony dla Miasta Lublina”, Odznaką „Zasłużony dla Lubelszczyzny” i innymi odznaczeniami.

W zmarłej straciłszy niezwykle sfermego i zasłużonego pracownika i działacza rezerwy kultury i sztuki, doskonałego pedagoga, prawego człowieka i serdeczną koleżankę.

**CZĘŚĆ SER PAMIĘCI!**

Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie

BRK

Duża 28 lutego 1983 r. zmarła

## Janina Miłosiowa

Artysta — malarz, zasłużony pedagog, działacz kultury. Założycielka prywatnej szkoły plastycznej, była dyrektorka Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie, odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Srebrnym Krzyżem Zasługi, Odznaką „Zasłużony Działacz Kultury” i innymi.

W zmarłej straciłszy kultury lubelskiej straciłszy barliwego organizatora życia plastycznego, szczeniaka wielkiego serca, wielką artystkę.

**CZĘŚĆ SER PAMIĘCI!**

Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie

BRK

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Erymuni Mańkowska, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bacińska, Mirosław Darski, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego) Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pająk, Waldemar Piasecki, Waldemar Stępień (korespondent), redaktor techniczny — Ewa Dybek korektor — Marianna Obiora.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i niezwrota ich skróty. W sprawach korespondencyjnych przyjmuje interesantów kierownik działu w piątek w godz. 14-18. Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Szosa 5, tel. 131-24. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 4. PL ISSN 0177-1109 Nr kat. 0013. Adres redakcji: 20-023 Lublin, ul. Szkołowska 1/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 131-49, sekretarz redakcji 131-63, dział publicystyki i literacki 131-39. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem 20-023 Lublin 2, skrytka pocztowa 521 polecono i abonentów — pod adresem redakcji. Zam. 001, 13.02.83 r. 3-4.

# CO JEST W TEJ PIŁCE?

## „Legia”

### - największy błąd w karierze

**N**IE chciałem uciekać z tonącego okrętu jak szczer i pozostałem w „Słasku” na sezon 1969/70, który miał nam przynieść ponowny awans do ekstraklasy. Niestety, tak się nie stało. Byliśmy zbyt pewni tego awansu, przegraliśmy kilka głupich meczów i pozostaliśmy nadal w II lidze. Nie ma co się nad tym rozwodzić. Osobiście dla Tomaszewskiego był to sezon kolejnych występów w Orłętach, gdzie ugruntował swoją pozycję między słupkami bramki, rozgrywając dwudziesty mecz w dresie z Białym Orłem.

Po zakończeniu rundy wiosennej działacze klubowi znów zaczęli namawiać mnie na dalszą grę w „Słasku”. Równocześnie byłem nagabywany przez przedstawicieli warszawskiej „Legii” na przeprowadzkę do stolicy. Przyszan, że oferty były kuszące, bo „Legia” był to wówczas mistrz Polski, w którym jasno świeciła już gwiazda Kazimierza Deyna, a w zespole grali także: bracia Blautowie, Leszek Cmikiewicz, Lucjan Brychczy Robert Gadocha i inni dobrzy zawodnicy. Warszawscy wojskowi radzili sobie nieźle również w Pucharze Europy, ale to już było jesienią. Ostatecznie dałem się przekonać na przedłużenie kontraktu ze „Słaskiem”. Duży wpływ na moją decyzję miały matka i siostra, nadal traktujące mnie jak „małego Januszka” i nie chcące wypuścić mnie poza Wrocław. Pomyślałem sobie: „Jeszcze zdąży. Czas pracuje dla ciebie”.

Przerwę wakacyjną przepracowałem bardzo solidnie, ćwicząc w końcowej fazie nawet 18 godzin tygodniowo, czyli tyle, ile nie trenował żaden z bramkarzy krajowej czołówki. Na początek rozgrywek czekałem z niecierpliwością i optymizmem. Udzieliłem nawet „w tej sprawie” wywiadu dla wrocławskich „Wiadomości”, w którym bardzo różowo dostrzegałem przyszłość „Słaska”, widząc jako głównych konkurentów ŁKS, „Odrę” Opole i „Cracovię”; przeciwników — do pokonania. Mówiłem też o swoich ideałach piłkarskich (Lubanski i Deyna). Oceñałem poziom piłkarskiej ekstraklasy i typowałem kandydatów do tytułu mistrzowskiego. Redaktor przeprowadzający ze mną rozmowę dał mi „pobrykać”, jak jakiejś gwiazdzie. Mało brakowało, a „ustalaliby” jeszcze kwestie reprezentacji świata, gdyby zadano mi takie pytanie. To był mój pierwszy duży samodzielny wywiad prasowy, ze zdjęciem, i na pół strony w gazecie. Tytuł patetyczny: „Runda piłkarskich nadziei”.

A propos reprezentacji świata (której na szczęście nie ustalałem), chciałbym zauważyć, że mistrzostwa „Mexico 70” zakończyły się sukcesem Brazylijczyków z niezapomnianym Pele, a nasza drużyna odpadła w eliminacjach głównie „dzięki” Bułgarii. Ta zresztą w Meksyku sobie nie powalczyła, zdobywając zaledwie jeden punkt w trzech meczach i odpadając z gry. Gniew polskich kibiców obrócił się — jak to bywa — przeciwko trenerowi Ryszardowi Konciewiczowi. Jako koronny, najważniejszy argument wysuwano, że nie potrafił zmontować optymalnego składu, mając do dyspozycji eksportowe jedenastki z Zabrza i Warszawy. Nie grałem w ówczesnej kadrze i trudno mi się wypowiadać, ale kibice zapominali chyba, że nie zawsze suma gwiazd daje drużynę-gwiazdę. Tu proste dodawanie zawodzi... W każdym razie los selekcjonera wydawał się przesądzony.

Dla odmiany Orłęta, pod wodzą Kazimierza Górskiego, latamy w 1970 roku wysoko. Na zakończenie udanego sezonu pokonaliśmy na wrocławskim Stadionie Olimpijskim młodzieżową re-

prezentację Włoch, a prasa donosiła entuzjastycznie „Następcy wicemistrzów świata pokonani we Wrocławiu 2:0!”. Summa summarum w tym roku graliśmy aż 14 razy, wygrywając pięciokrotnie, remisując sześć razy i ponosząc trzy porażki. Był to najlepszy sezon młodzieżówki od wielu lat.

Jak było w meczu wrocławskim 5 grudnia 1970 r.? Przede wszystkim była ładna, zupełnie niezimowa pogoda.



Tym razem napastnik był szybszy. Po główce Galeczki „Tomek” wyciągnie piłkę z bramki. Mecz „Zagłębia” Sosnowiec ze stołecznymi wojskowymi zakończył się wynikiem 3:2. Foto: CAF — Seko

Ponadto dotarła ze stolicy wieść, że trener Górski ma zostać selekcjonerem kadry narodowej. Oczywiście, on sam pytany przez chłopaków odpowiadał, że nie wie, ale my wiedzieliśmy, że coś w tym musi być. Mecz graliśmy w składzie: Tomaszewski, Szymanowski, Płaszewski, Musiał, Rachwałski, Krawczyk, Lato, Janik, Kot, Masztaler, Kwiatkowski. Po przerwie Kota i Masztalera zmienili Piuta i Fotolc. Przeciwnicy mieli w swych szeregach m. in. bramkarza Bordona, a ponadto Bertiniego, Zaniboniego, Franzota, Maggeriniego, Puliciego. Słowem graczy, o których na ligowych boiskach Italii słychać do dziś, a trafiają także do „squadry” Enzo Bearzota.

Zaczęło się od bramki Kwiatkowskiego, który po rozpoczęciu od środka otrzymał podanie w okolicy dwudziestego metra od bramki włoskiej i walnął z pierwszej piłki. Bramkarz megiłańskiego „Interu” nie miał tu nic do powiedzenia i prowadziliśmy 1:0. Tak zostało do przerwy mimo kilku korzystnych dla nas sytuacji. Po przerwie nadal przeważaliśmy i, po serii ataków, Krawczyk w 51 minucie z bardzo ostrego kąta drugi raz zmusił Bordona do wyciągania piłki z siatki. Kolejne korzystne sytuacje nie zostały przez nas wykorzystane. Włosi tego dnia ustępowali nam wyraźnie. Jeśli idzie o mój wkład w zwycięstwo, był on raczej średni. Do maksymalnego wysiłku zmusił mnie, dwukrotnie zresztą, lewoskrzydłowy Pulici. Wynik uzyskany z młodymi następcami Zoffa, Mazzoli, Facchetti prasa uznała za dobry omen. Pisano: nie jest tak całkiem źle z polskim futbolem. Jeszcze raz okazało się, że mamy talentowaną młodzież, z której... dobry krawiec potrafi uszyć całkiem przyzwoity gar-

nitur. Czy uczyni to trener K. Górski? — Nielatwe czeka go zadanie, ale można chyba żywić nadzieję, że nowo mianowany selekcjoner PZPN obierze słuszną koncepcję odmładzania kadry narodowej. Pomijając swoistą, „krawiecką” poetykę autora relacji, wydawało się oczywiste, że nadchodzi nowe czasy dla futbolu polskiego. Czy przyniosą one efekty, kiedy i jakie, nikt odpowiedzieć nie umiał, ale że Górski zmienił wiele — wiadano do brze.

Teraz o anonsowanych nadziejach pierwszo-ligowych „Słaska”. Niestety, okazało się po pierwszej rundzie, że są one tylko teoretyczne. Coś się nie kleiło w grze, atmosfera w drużynie — jak zwykle w takich razach — nie była najlepsza. W przerwie zimowej znów odezwała się „Legia” i tym razem już nie oponowałem. Jak mnie chciało, to mnie bierzcie. Szczegóły rozmów obu zainteresowanych klubów nie są mi znane. W każdym razie rzecz odbywała się w ramach jednego resortu (MON) i pieniądze za transfer nie wchodziły w grę. Nie zarobił tu ani klub, ani — ja. Wszystko odbyło się po linii wojskowej, a decyzja należała tylko do mnie. Postawiłem warunek, że otrzymam w Warszawie mieszkanie o standardzie takim, jak we Wrocławiu. Został on od razu zaakceptowany.

Powiedziałem: „Tak” i popełniłem największy błąd w swoim sportowym życiu. Dziś widzę, że wynikał on z małego doświadczenia i strasznej chęci do

zmianę, ale zwykle on dwa mecze po kolei, a ja — jeden. Przy czym tak się jakoś składało, że wcale lepiej ode mnie nie grał. Są na to dowody w zsywkach gazet sportowych i można poczytać sprawozdania. Władek broił na przykład w dwóch ważnych meczach z „Atletico” Madryt, mimo że ja dosłownie wychodziłem ze skóry, żeby się zalać do składu. W formie też byłem dobrej.

Czułem się w Warszawie źle. Poza boiskiem nie miałem kontaktu w zasadzie z nikim poza Leszkiem Cmikiewiczem. Było to dla mnie nowością, bo w „Słasku” byłem przez chłopaków lubiany i na towarzystwo, a właściwie jego brak, nigdy nie narzekałem. Tu zupełnie inaczej. Siedziałem w domu, czytałem książki, gapiełem się w telewizor, tailem bez sensu po ulicach. Czułem się, jak więzień. Drużyna „Legii” tworzyła wówczas specyficzne, zamknięte środowisko. Byli to warszawiacy, albo chłopcy z okolic stolicy (np. z Karczewa). Pewnymi wyjątkami byli „Beno” i „Zyga” Blautowie, moi krajanie z Wrocławia podobnie Leszek Cmikiewicz oraz Gadocha — krakus. Ale oni zostali zasymilowani, oni wychodzili w pierwszym składzie, oni sobie nie zagrażali.

Tak się przemęczyłem do wiosny 1971 roku. Choć przyznaję, były momenty także przyjemne. Zaliczam do nich na przykład, tournée drużyny po Hiszpanii i Maroku, które dało mi możliwość poznania nowych krajów, kultur. No i także gry z innymi przeciwnikami.

W czerwcu 71-go roku okazało się, że wygrałem rywalizację z Grotynskim, bo... na pewien czas przestał on w ogóle grać. W głosnej wówczas aferze celno-dewizowej został uznany winnym i trafił do zakładu karnego. Może popełniał nietakt pisząc jasno, o co chodziło i dlaczego musiał przerwać (a de facto: zakończyć) karierę piłkarską, ale: 1) dla kibiców sprawa ta jest znana; 2) sam nigdy, mimo wielu sposobności, niczego nie przemyślałem, nie handlowałem i z ręką na sercu mogę powiedzieć, iż w tym względzie jestem akurat bez winy. Nie zmienia to oczywiście faktu iż wolałbym rywalizację z Grotynskim wygrać sportowo, a nie przy „pomocy” wymiaru sprawiedliwości.

W czasie, kiedy przeżywałem swój warszawski „Sturm und Drang Periode”, kadra narodowa rozpoczęła eliminacje mistrzostw Europy. Grupa wyglądała tak: Albania, Turcja, RFN (I) i Polska. Pierwszych rywali można było pokonać i w to nikt nie wątpił. Ale RFN, trzecia drużyna świata? Wystarczyło spojrzeć na skład: Maier, Beckenbauer, młody Breitne, Netzer, król strzelców „Mexico 70” Mueller, Grabowski itd. W pokonanie Niemców wierzyli tylko laicy sportowi, albo fanatycznie optymiści... Znalazłem się w szerokiej kadrze Kazimierza Górskiego, ale nie zmieściłem się: ani na Tiranę 12 maja 1971 r. (tylko 1:1; okrzykniętą jako kompromitacja), ani na zwycięstwo 4:0 z Turkami 22 września tego roku. Etatowym bramkarzem był wówczas Jan Gomola, luzowany przez Piotra Czaję, a ja dopiero za nimi. Nic oczywiście nie wskazywało na to, żeby w meczu z RFN na Stadionie X-lecia coś mogło się zmienić. Spotkanie to okrzyknięto „meczem roku”, celebrowano powoływanie kadry. W pierwszej wersji wyglądać miała następująco: Gomola i Czaja (bramka); obrona — Osiłko, Wraży, Aneczek, Gorgoń; w pomocy Blaut, Deyna, Buła, Maszczyk, Szoltysik; w napadzie — Lubanski, Gadocha, Banaś, Sadek. Okazało się, że moi koledzy klubowi „Beno” Blaut i „Kalka” Deyna odpadają, bo jeden jest chory, a drugi niedysponowany. Co to oznaczało? Wiadomo: poważne osłabienie, by nie powiedzieć — demontaż — drugiej linii. Dołączył w ich miejsce Antoni Kot z „Odry”, wielokrotny reprezentant Orłat, ale debiutant w I reprezentacji, i Marian Kozerski 3 października, dokładnie na tydzień przed meczem, okazało się, że Gomola ma pęknięty krąg szyjny i nawet poruszanie głową sprawia mu wielkie trudności. Pozostawał — Czaja.

Ja w tym czasie przygotowywałem się do meczu młodzieżówek obu krajów w Łodzi, który miał być rozegrany 9 października. Trenowałem ostro, bo miał to być najsilniejszy przeciwnik Orłat w historii moich — w ich składzie — występów. W czwartek, 7 października — telefon... Co było dalej? Wiecie? No to posłuchajcie w następnym odcinku.

Do druku przygotował:  
Waldemar Piasecki

Tak więc, godząc się na wyjazd do Warszawy, nieświadomie podjąłem się wysiłku psychicznego ponad moje siły.